BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 12 **Tydzień Oświaty, Książki i Prasy** Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 8 maja 1949 r. Nr 19 (198)

Uniwersytet Gdański Biblioteka

CIV 9037

W NUMERZE

między innymi:

B. Suchodolski — Podstawy wychowania w oświetleniu pedagogiki radzieckiej.
W. Jażdżyński — Ochrona pracującego człowieka.
P. Jamati, L. Lorek — wiersze.
A. Kamieńska — Trylogia wiejska Stanisława Piętaka.
J. Bałtuszis — Pieją koguty (fragment dramatu).
S. Babajewski — Jak Prochor zostaje elektrykiem (fragment powieści).
J. Miller — „Anna Proletariuszka".
A. Łempicka — Książki K.U.K.
J. Pogan — Spotkania klasowe.
J. Pamianowski — Przyczynek do przekładów A. Czechowa.
J. Waleńczyk — Życie literackie Białorusi.
P. Czyżowa, W. Błachut, J. Grabowicz — uwagi.

Konstanty Grzybowski

Młodzież robotniczo-chłopska na wyższych uczelniach

(Doświadczenia i wnioski)

Mamy za sobą pierwsze dwa lata, w których przyjmowano studentów na wyższe uczelnie wedle nowych kryteriów. Sprawdzianem tych kryteriów stały się egzaminy wstępne, zasadą przy przyjmowaniu — pochodzenie społeczne kandydatów i ich, mające się ujawnić przy egzaminach wstępnych, nastawienie wobec przemian społeczno - gospodarczych i politycznych. W rezultacie otrzymaliśmy na dwóch najniższych latach studiów znaczne zwiększenie odsetka młodzieży pochodzenia robotniczo - chłopskiego, znaczne zwiększenie młodzieży aktywnej społecznie (wskazuje na to choćby fakt, iż wśród członków ZAMP przeważają studenci dwóch niższych lat). Równocześnie otrzymaliśmy przy egzaminach wstępnych pewne dane co do przygotowania młodzieży robotniczej i chłopskiej do studiów wyższych, po upływie roku pewne dane co do proporcji młodzieży z tych klas społecznych, która rzeczywiście studiuje — zwłaszcza na wydziałach, na których istnieje system egzaminów rocznych. Obecnie, gdy w Ministerstwie Oświaty opracowuje się projekt rewizji przepisów o egzaminach wstępnych, wydaje się pożyteczne wyciągnięcie pewnych wniosków z dotychczasowych doświadczeń, choćby — jak poniższe — były oparte przede wszystkim na obserwacji tylko jednego uniwersytetu, w dużym stopniu tylko z jednego wydziału (wydziału prawa U. J.).

1. Wyniki egzaminów wstępnych okazały moim zdaniem, iż nie ma żadnej różnicy w poziomie przygotowania, opanowania materiału, w poziomie inteligencji między kandydatami pochodzącymi z klasy robotniczej a pochodzącymi z inteligencji pracującej. Nie istnieje już zasadniczo żaden „dystans kulturalny" między maturzystami z tych klas. Szybkość orientacji, umiejętność operowania posiadanymi wiadomościami, umiejętność ścisłego ujmowania i ścisłego formułowania własnych poglądów jest tu i tam na takim samym poziomie, wyniki egzaminów wstępnych są tu i tam takie same.

Inaczej — i gorzej — co do młodzieży pochodzenia chłopskiego. Nie należy ukrywać tego faktu, że maturzyści pochodzenia chłopskiego są przeciętnie gorzej przygotowani do studiów wyższych. Upatrywanie w tym zjawisku jakichś innych, „rasowych" cech chłopa byłoby oczywistym nonsensem — wystarczy wskazać na fakt, że syn robotniczy jest najczęściej wnukiem chłopskim. Już to wskazuje, że przyczyną gorszego przygotowania młodzieży chłopskiej są wpływy środowiska — i na tej drodze należy szukać środków zaradczych.

Pierwszym — i zasadniczym, a łatwiejszym równocześnie do usunięcia czynnikiem wydaje się być niski poziom tych szkół średnich, z których wychodzi przeważna część młodzieży chłopskiej. Są to przeważnie szkoły średnie prowincjonalne, o gorszych siłach nauczycielskich, o gorszych i gorzej zaopatrzonych bibliotekach, nieraz tworzone dopiero po r. 1944, a więc zaczynające zupełnie od nowa. Przyczyna złego przygotowania leży nie w uczniu, lecz w szkole. To zaś stawia komisję egzaminów wstępnych przed problemem niemal nie do rozwiązania. Co robić z kandydatem, który, nie z własnej winy, nie jest przygotowany do studiów wyższych? Nie dopuścić go do tych studiów? Wtedy wróci na wieś i po roku będzie jeszcze gorzej przygotowany, bo środowisko, w którym żyje tego przygotowania mu nie da. Dopuścić go? Wtedy prawie na pewno pierwszym egzaminom nie podoła, będzie studiował pięć lub sześć lat zamiast cztery — o ile się wcześniej nie zniechęci. Wydaje się, że jedynym wyjściem byłoby wyrwanie go z dotychczasowego środowiska, przeniesienie do środowiska uniwersyteckiego i przygotowanie tutaj do studiów wyższych, np. w formie dopuszczenia na rok wstępny — mimo posiadania formalnych kwalifikacji do studiów wyższych w postaci matury. Jak długo będą bowiem istniały szkoły średnie na poziomie zbyt niskim — tak długo matura jest tylko formalnym, często z faktami niezgodnym kryterium dojrzałości do studiów wyższych.

Sądzę, jednak, że istotna, trudniejsza do usunięcia przyczyna gorszego przygotowania dzieci chłopskich do studiów wyższych tkwi w obecnej strukturze wsi polskiej. Kandydat wychowany w środowisku o typie gospodarki zacofanej, technicznie nie zmechanizowanej, społecznie jeszcze o pewnych cechach gospodarki naturalnej, gospodarczo drobnokapitalistycznej czy drobnotowarowej — musi mieć pewne trudności z asymilacją cywilizacji opartej na innym poziomie technicznym, gospodarczo opartej na koncentracji produkcji, społecznie i gospodarczo w stopniu o wiele dalszym niż wieś posuniętej ku socjalizmowi. Inaczej mówiąc — usunięcie różnic pomiędzy robotnikiem i chłopem w przygotowaniu do asymilacji współczesnej kultury nie jest możliwe bez zmian w strukturze społecznej i gospodarczej wsi. Uwspółcześnienie, a więc uspółdzielczenie gospodarki wiejskiej, jej mechanizacja (pod względem technicznym), jej włączenie w gospodarkę socjalistyczną (pod względem społeczno - gospodarczym) włączy i intelektualnie młodzież chłopskiego pochodzenia w kulturę współczesną.

2. Tyle jeśli idzie o przygotowanie teoretyczne do studiów wyższych. Ale nowe kryteria doboru kandydatów mają także sprawdzać przygotowanie ideologiczne. I tutaj nasuwają się dwie uwagi. Uwaga pierwsza: nastawienie ideologiczne zdobywa się już w szkole średniej, szkoła wyższa otrzymuje najczęściej już ideologicznie „urobionego" młodego człowieka. Współdecydującym obok pochodzenia klasowego czynnikiem jest tutaj środowisko nauczycieli i kolegów z ostatnich lat przed maturą. Czyli: ciężar zagadnienia leży w szkole średniej, na szkołę wyższą spada zaś niejednokrotnie ciężar nie tylko urabiania ideologicznego kandydata, ale czasem jeszcze cięższe zadanie odrabiania fałszywego nastawienia. I uwaga druga: kontrola przygotowania ideologicznego przez komisje egzaminów wstępnych jest obecnie w pewnym stopniu fikcją, skoro ogranicza się ona do kontroli pisemnego zadania i najwyżej kwadransa rozmowy przy ustnym egzaminie. Środkiem zaradczym może być albo takie wzmożenie liczby komisyj, by były one w stanie gruntownie w ustnej rozmowie z kandydatem stwierdzić jego przygotowanie teoretyczne i ideologiczne, albo (co wydaje się trafniejsze) przerzucenie części zadania na środowisko, z którego kandydat pochodzi (szkołę średnią, lokalne organizacje społeczne itd.). Ostatnie wypowiedzi wicemin. Krassowskiej zdają się wskazywać, że Ministerstwo Oświaty ma zamiar iść w tym kierunku.

Fot. St. Brzozowski i J. Malarski

3. Zamiana pochodzenia klasowego i nastawienia ideologicznego przyszłej inteligencji polskiej będzie nie tylko postulatem, ale stanie się rzeczywistością tylko wtedy, jeśli nowy, pożądany skład klasowy będzie istniał nie tylko bezpośrednio po egzaminach wstępnych, ale i przy kończeniu studiów. I to wydaje się problemem najistotniejszym. Nie idzie o to, jaki będzie procent dzieci robotniczych i chłopskich, zaczynających studia wyższe, idzie o to, jaki będzie procent dzieci robotniczych i chłopskich kończących studia wyższe.

Tutaj dotychczasowe doświadczenia są najbardziej fragmentaryczne, ale niemniej pozwalają, choć z wielką ostrożnością, na pewne stwierdzenia, których sprawdzenie w innych środowiskach wydaje się potrzebne. Obecny II rok prawa U. J. przeszedł już przez sito egzaminów wstępnych. I oto — w porównaniu ze strukturą społeczną na I-szym roku, po egzaminach wstępnych — na II-gim roku znalazło się: procentowo mniej młodzieży pochodzenia robotniczego, procentowo więcej młodzieży pochodzenia chłopskiego i inteligencji pracującej, najbardziej zaś spadł w ciągu I. roku studiów procent „innych" (przede wszystkim inicjatywa prywatna).

Przyczyny? Z rozmów ze studentami, z badania ich sytuacji materialnej, ich możności egzystencji w środowisku uniwersyteckim, ich zainteresowania studiami, można z pewnym prawdopodobieństwem przypuszczać, iż zasadniczą rolę odgrywają przyczyny materialne, koszta utrzymania w mieście uniwersyteckim. Młodzież pochodzenia chłopskiego, nawet gdy sytuacja materialna jej rodziców nie jest lepsza niż u młodzieży pochodzenia robotniczego, ma większe możliwości pomocy z domu w środkach żywności. U młodzieży robotniczej taka pomoc odpada. Syn chłopski, czy córka chłopska, nawet nie mając stypendiów, utrzyma się czasem w mieście uniwersyteckim. Syn czy córka robotnicza napotyka tu na znacznie większe trudności. Ale jeden i drugi bez stypendium żyje przeważnie w ciężkich warunkach. Tylko szeroka akcja stypendialna zapewni utrzymanie pożądanej struktury klasowej przez cały czas studiów. I tu leży klucz całego zagadnienia. I tutaj także wicemin. Krassowska trafnie ujęła zagadnienie, wskazując, że należy postawić inaczej sprawę pomocy materialnej dla niezamożnej młodzieży ludowej. Postawiłbym tutaj pewną tezę: jak istnieje z góry ustalony odsetek młodzieży robotniczej, chłopskiej i z inteligencji pracującej do ogółu miejsc w szkołach wyższych, tak powinien istnieć ustalony z góry stosunek ilości stypendiów do młodzieży robotniczej, chłopskiej i z inteligencji pracującej.

Sądzę, że nie uda się rozwiązać tego zagadnienia wyłącznie przy pomocy środków państwowych. Sądzę, że jest tutaj konieczną także inicjatywa organizacyj społecznych, inicjatywa oddolna. Pomóc tu powinny m. in. Związki Zawodowe i Związki Samopomocy Chłopskiej. Jeśli Rady Zakładowe, jeśli Zw. Zawodowe, jeśli Związki Samopomocy chłopskiej „wytypują" w swym środowisku zdolne dziecko robotnicze, chłopskie czy inteligenckie, okażą się pomocnymi przy przyjmowaniu na szkoły wyższe. Ale istotną pomoc okażą, jeśli zaczną fundować stypendia dla „swoich" kandydatów. Tu może i powinna powstać nowa postać „współzawodnictwa pracy" — rywalizacji fabryk i wsi w poziomie i postępach „swoich" stypendystów. I może powstać nowa forma kontaktu między szkołami wyższymi a ruchem zawodowym — w formie informowania przez szkoły wyższe o postępach i pracy takich stypendystów, wymiany poglądów, informacji, sugestyj. Powiązanie zaś akcyj stypendialnych z ZAMP może się okazać celowe z punktu widzenia społecznej pracy stypendystów.

4. I w końcu zagadnienie ostanie. Cel całej akcji zapoczątkowanej wprowadzeniem egzaminów wstępnych zostanie tylko częściowo zrealizowany, jeśli młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego pójdzie prawie wyłącznie do praktycznych zawodów inteligenckich, a nie znajdzie się w wyższym niż dotąd stopniu wśród pracowników naukowych. I tutaj znowu środkiem do tego celu może być nakładanie na stypendystów obowiązku pracy naukowej, a na profesorów i pomocnicze siły naukowe obowiązku kontroli nad tą pracą, obowiązku kontaktu ze stypendystami — następnie zaś „wyławianie" spośród stypendystów przyszłych pomocniczych sił naukowych. Zmiana struktury klasowej młodzieży studiującej rodzi konieczność żywszego kontaktu profesorów i pomocniczych sił naukowych ze studentami — wszak student pochodzący ze środowiska nieinteligenckiego wymaga właśnie z natury swego środowiska większej pomocy, większej opieki. Nie należy przeoczać faktu, że te nowe i szersze formy kontaktu pracowników naukowych ze studentami pociągną za sobą konieczność zwiększenia ilości pracowników naukowych (bo jak marzyć o takim kontakcie, jeśli np. na 600 studentów jest jeden profesor i cztery pomocnicze siły naukowe), ale wydaje się to koniecznością

Dm 52/052

Bogdan Suchodolski

PODSTAWY

W OŚWIETLENIU PEDA

Przodującą rola teorii pedagogicznej może być pomyślnie wypełniona wówczas tylko, gdy założenia teorii są słuszne i wolne od szkodliwych błędów. Od wielokrotnych uchwał CKW KP(b) z lat 1931—1936 w sprawie rewizji błędnych poglądów pedagogicznych utrwala się i rozrasta w ZSRR wyraźna i zdecydowana wola takiego pojmowania podstaw pedagogiki, które przeciwstawia się ostro bio-psychologicznym i socjologicznym koncepcjom pedagogów mieszczańskich.

Teorie bio-psychologiczne przekonywały, iż praca wychowawcza może być albo zgodna z procesem fizycznego i psychicznego rozwoju dziecka, albo też może mu się przeciwstawiać. W pierwszym przypadku stanowi ona tylko potwierdzenie procesów dojrzewania i nie wnosi w nie niczego nowego; w drugim przypadku usiłuje wprawdzie uczynić z wychowanka coś innego, niż to, czym stałby się on sam ze siebie, ale w usiłowaniu tym ponosi klęskę i wyrządza więcej szkód niż daje pożytku.

Zgodnie z tymi obserwacjami naturalistyczne teorie pedagogiczne zalecały szanować swobodę dziecka, czyniły z wychowawcy opiekuna lub nawet tylko obserwatora, ufały, iż zapewnienie warunków samorzutnego rozwoju i wzrostu jest najlepszą metodą „wolnego wychowania". Wielkie nazwiska Rousseau'a i Tołstoja znaczyły historię tego nurtu pedagogicznego, a nowoczesny rozwój psychologii, zwłaszcza studia Claparede'a i Bovet'a, dostarczał — szczególnie w okresie międzywojennym — świeżych argumentów temu stanowisku.

Pedagogika radziecka — wraz z radziecką psychologią — opowiada się zdecydowanie przeciwko tym koncepcjom, głosząc doniosłość roli wychowania, które przekształca rozwój dziecka jakościowo, ponieważ wprowadza weń elementy społeczno-intelektualne.

Prawa procesów wychowawczych — pisze Gonczarow w „Podstawach pedagogiki" — nie mogą być wywnioskowane z praw przyrody, ponieważ przedmiotem wychowania jest dziecko jako istota społeczna, a nie jako istota biologiczna. Powinniśmy — sądzi Gonczarow — mieć zawsze w pamięci ten historyczny fakt, iż „przez pracę i z pomocą pracy człowiek wydzielił się z królestwa zwierząt. ...Stworzenie narzędzi pracy i zapanowanie dzięki nim nad przyrodą wyznaczyło stosunki między ludźmi... proces rozwoju materialnego życia uczynił człowieka człowiekiem".

Proces ten tworzy nowe jakości. Człowiek nie jest po prostu cząstką przyrody, nie jest tylko biologiczną istotą. Jest on żywym i aktywnym organem pracy i przez to wstępuje on w świat społeczny i przekształca samego siebie przekształcając przyrodę. Czyniąc to wszystko osiąga świadomość praw przyrody i świadomość praw społecznych.

Mając to na uwadze, będziemy musieli odrzucić, sądzą pedagogowie radzieccy — uroszczenia wielu biologów i psychologów obiecujących określić prawa wychowania na podstawie tzw. praw indywidualnego rozwoju. Biopsychiczny rozwój i wzrost nie mogą być uznane jako podstawowe prawa wychowania. Dziecko bowiem nie rozwija się „samo ze siebie", ale rozwija się pod wpływem wychowania i nauczania. Gdyby rzeczywiście rozwój wyznaczał pracę wychowawcy i nauczyciela, to nie miałaby ona właściwie żadnego realnego znaczenia, a pedagogika nie miałaby właściwego sobie przedmiotu badań. W rzeczywistości jednak jest inaczej. „Bez wychowania i nauczania nie może dokonywać się rozwój dziecka". Nauczanie i wychowanie nie jest tylko jakimś dodatkiem do zachodzącego spontanicznie procesu rozwoju, ale jest właśnie czynnikiem samego rozwoju, jego istotną treścią. I to treścią decydującą o jakościowych przemianach dziecka. Nie wystarcza uznać — pisze Gonczarow — iż dziecko równocześnie rozwija się, wychowuje i uczy. Cały ten proces bowiem nie jest procesem prostych, ilościowych przemian. Rozwój dokonujący się w procesie wychowania i nauczania daje nowe jakościowo wyniki.

Proces wychowania wyznaczany jest więc przez cele wychowawcze, a nie przez biopsychiczne czynniki, z którymi pedagogika musi się liczyć tylko jako z warunkami pracy wychowawczej. Ze względu na ten twórczy charakter wychowania i nauczania nie możemy uznać roszczeń psychologów, wykrywających autonomiczne prawa rozwoju. Jeśli psychika dziecka — pisze Gonczarow — zmienia się w wyniku wychowania, to można mówić z równym prawem o pedagogicznych podstawach psychologii, co i o psychologicznych podstawach pedagogiki". I musimy odrzucić teorie wedle których biologia, fizjologia lub psychologia miałyby być podstawami pedagogiki.

Biologizowanie i psychologizowanie pedagogiki prowadzone jest — zdaniem Gonczarowa — przez wielu mieszczańskich pedagogów w tym celu, aby przez odwołanie się do „wiecznych praw" przyrody ukryć społeczny sens pracy wychowawczej, zamaskować jej realną treść klasową. Dostosowywanie wychowania do „natury" dziecka jest w istocie dostosowywaniem go do klasowych warunków społecznych. Ale nawet i w społeczeństwie bezklasowym pedagogika nie może opierać się na psychologii. Psychologia bowiem w najlepszym razie potrafi wskazywać to, co w treściach wychowania i nauczania może być „dostępne, ale nie to, co powinno być obowiązujące". Cele wychowania wyrastać muszą ze społeczeństwa i jego rozwoju.

Odgrodzenie się od naturalistycznych koncepcyj pedagogiki sprawia, że teoria dziedziczności, wyjaśniająca biologiczne różnice między zainteresowaniami i uzdolnieniami dzieci, stanowi — oczywiście — przedmiot szczególnie ostrej krytyki pedagogów radzieckich. Różnice te w rzeczywistości wynikają z warunków życia, zwłaszcza życia społecznego. Podtrzymywanie przekonania, że są one zdeterminowane biologicznie, stanowi wyraz interesów klas panujących, którym zależy na utrzymaniu panującego porządku niewoli i ciemnoty. Przekonanie, iż jedne dzieci — jak to głosił Kerschensteiner — rodzą się z uzdolnieniami do zajęć praktycznych, a inne — znaczna mniejszość z uzdolnieniami do zajęć teoretycznych, tym właśnie interesom klasowym służy, jak wykazują Ogorodnikow i Szimbiriew w podręczniku pedagogiki.

Teoria dziedziczności jest niesłuszna także i wówczas, gdy głosi, iż rozwój indywidualny powtarza rozwój gatunku. Oznacza ona wówczas, iż przemiany psychiczne dziecka są co do swego następstwa i co do swej treści określone rozwojem biologicznym i powtarzają przemiany duchowe rodzaju ludzkiego w ciągu wieków. Przyjęcie takiego automatyzmu przekreśla rolę wychowania. „Wychowanek — jak piszą Ogorodnikow i Szimbiriew — znajdowałby się pod władzą przeszłości i bez względu na cele, które byśmy stawiali, i bez względu na środki wychowawcze, których byśmy używali, nie moglibyśmy zmienić ogólnego przebiegu rozwoju". Nie jest zaś do przyjęcia taki punkt widzenia, który czyni pracę wychowawczą niepotrzebną. Wręcz przeciwnie, pedagogowie radzieccy uwydatniają doniosłą i odpowiedzialną rolę wychowania, jako czynnika rozwoju. Pedagogika radziecka — jak formułują Ogorodnikow i Szimbiriew — nie sądzi „by dziecko rodziło się z gotowymi ideami, ukrytymi formami poznania, dziedzicznie wyznaczonym charakterem, zainteresowaniami itd. Wszystkie te właściwości są owocem środowiska i wychowania, tj. warunków wśród których dziecko wzrasta". Odrzucając fatalistyczną rolę dziedziczności, pedagogika ta nie zaprzecza, iż w biologicznym wyposażeniu jednostki znajdują się warunki i zadatki rozwoju, ale sądzi jednak, iż „zadatki i życiowe siły będą się rozwijać w zależności od warunków i wychowania. W jednym przypadku rozwijać się one będą aż do szczebla talentu, a w innym pozostaną na szczeblu przeciętności". Warunki i wychowanie są czynnikami decydującymi o tym, jakim stanie się człowiek.

Ten punkt widzenia przeciwstawia się jaskrawym, fatalistycznym teoriom pedagogiki rasistowskiej, która głosiła zasadę, iż „krew" decyduje o tym, jakim będzie człowiek i czego będzie mógł dokonać. Teorie te nie tylko przekreślały całkowicie rolę wychowania, sprowadzając je do służenia tym procesom rozwoju, które miały się dokonywać „rasowo", ale równocześnie stawały się najbardziej niebezpiecznym orężem imperializmu i niesprawiedliwości.

Punkt wdzenia pedagogiki radzieckiej zapewnia wychowawcom sensowność ich pracy i obarcza ich odpowiedzialnością za nią. Wychowawca czyni z dziecka człowieka w zależności od tego, jak rozwinie wrodzone jego możliwości. Dziecko jest zapowiedzią, która się spełnia dzięki pracom wychowawcy. Zapowiedź ta jest wieloraka i dlatego praca wychowawcy winna być wielostronna.

Przekonanie, iż osobowość człowieka nie jest ani fatalistycznie wyznaczona, ani raz na zawsze gotowa, lecz że się tworzy dzięki wychowaniu, stanowi równocześnie podstawę dla pracy samowychowawczej. Człowiek powołany jest do tego, aby ulepszał swą pracę, podwyższał poziom swego umysłu, wzbogacał swą wiedzę, usprawniał działanie. Wszystko to możliwe się staje, gdy przyjmiemy tezę o plastyczności wrodzonego wyposażenia, o jego przemianach w wyniku celowego i świadomego wysiłku.

Podkreślając wszakże tę twórczą rolę wychowania pedagogika radziecka nie popełnia błędu, który wytyka pedagogom wieku XVIII, zwłaszcza Helwecjuszowi, a mianowicie błędu przypisywania wychowaniu roli jedynej i decydującej. Jak wspomnieliśmy, pedagogowie radzieccy krytykując teorię dziedziczności wskazywali nie tylko na rolę wychowania dla rozwoju człowieka, ale również i na rolę środowiska.

„Proces rozwoju dziecka dokonywa się pod wpływem otaczającego je środowiska — piszą Ogorodnikow i Szimbiriew. Dzieci obserwują przyrodę, poznają jej właściwości, zapoznają się z różnorodnymi objawami i rejonami życia społecznego, w których uczestniczą coraz wydatniej. W procesach obcowania z otaczającym środowiskiem kształtuje się doświadczenie dziecka, jego przedstawienia i pojęcia".

Ta rola środowiska jest tak silna i ważna, że niesposób uznać zarozumiałej, lecz niekrytycznej tezy, głoszącej, jakoby wychowawca pisał w duszy dziecka wszystko, co zechce, jak na czarnej tablicy. Wychowawca musi się liczyć z wpływami otoczenia, które przed nim i równocześnie z nim urabiają jego wychowanka.

Fakt ten stanowi źródło zasadniczych konfliktów między wychowawcami, a klasowym porządkiem społecznym. W ustroju klasowym bowiem warunki życia szerokich rzesz są takie, iż rozwój dzieci jest hamowany, ograniczany i wynaturzany. Wychowawcy — jeśli tylko nie są posłusznymi wykonawcami woli klas panujących, lecz pragną naprawdę służyć dzieciom, muszą podejmować pracę, której wyniki są zaprzeczane przez istniejące warunki życia. Ich trudy idą na marne.

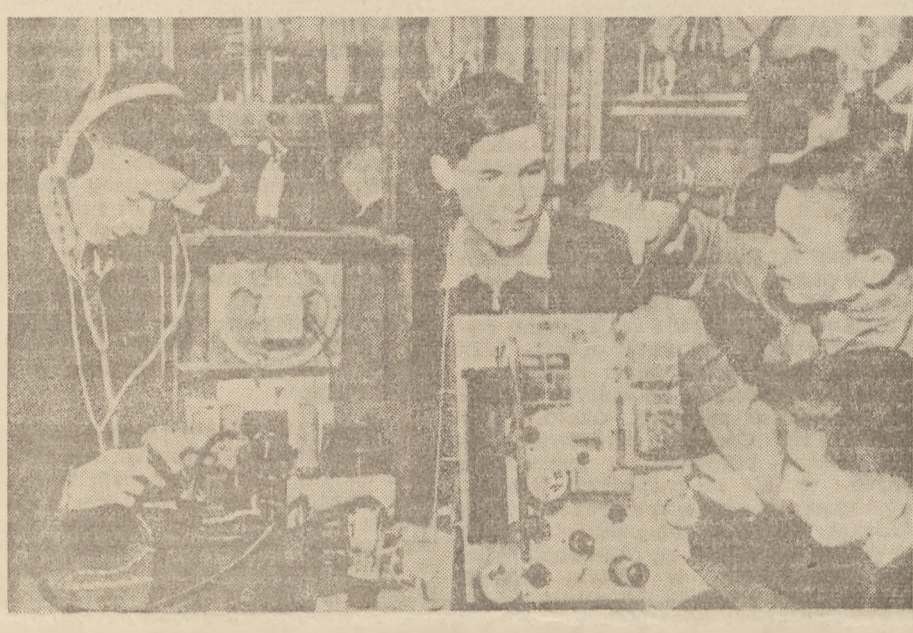

W laboratorium fizycznym szkoły nr 110 w Moskwie

Szkoła średnia we wsi Dimitrowka

Paul Jamati

DO GR

Łono twe wydało dwie siostry bliźniacze
Wszystkim narodom
Rozum i Demokrację
    Dziś jesteś Grecjo nieposłusznym łupem
    Łupem tyranii ofiarą szaleństwa
    Jeepy żandarmskie na ulicach Aten
    Działa okrętów celują w Akropol
    I awiomatka koło Pireusu
Królów pieniądza sześćdziesięciu
Chce dziś narzucić Ci swą wolę
Ma zamiar królów sześćdziesięciu
Zaćmić Hitlera swoim dziełem
    Nie dość na świecie było widać kostnic
    Splątanych zwłok bezładnie gęstych żywopłotów
    Nie dość gron winnych — nie dość patriotów
    Ściśnięto tłokiem — murami więzienia
    Obozów śmierci i tortur na śledztwie
    Nie było widać jeszcze dotąd dosyć
    Co rano
    Nad miast twych Grecjo przedmieściami
    I pięknych wysp archipelagiem
    Nad koszarami twych oprawców
    I stosem trupów zharatanych
    Wstaje
    Jutrzenka różopalca

* * *

Drżyjcie bankierzy purytanie
I wy wraz z nimi niewolnicy
Dyktatorowie i sędziowie sforo ministrów generałów
    Słuchajcie jak ze szczelin ciszy
    Lawiną głazów i tętętem
    Zgiełk się dobywa, ziemią wstrząsa
    Tessalią aż po góry Grammos
    Epirem i Peloponezem
Drżyjcie najeźdzcy
To Andartes!
    Niewidoczni — są tutaj
    Otaczają was zewsząd
    Wciągną nieraz w zasadzkę
    Będą bić się bez lęku

WYCHOWANIA

GOGIKI RADZIECKIEJ

Tylko w socjalistycznym ustroju — podkreślają pedagogowie radzieccy — otoczenie może się stawać sprzymierzeńcem wychowawcy w jego pracy wychowawczej, ponieważ jest ono organizowane dla dobra wszystkich, a nie dla wyzysku jednych przez drugich. Zrozumienie tej harmonii między socjalistycznym środowiskiem i socjalistycznym wychowaniem skłoniło niektórych pedagogów dawniejszych do sformułowania teorii tzw. obumierania szkoły. Sądzili oni, iż cały proces wychowania w socjalistycznym społeczeństwie będzie mógł być zorganizowany jako proces wrastania w środowisko i uczestniczenia w nim.

Współcześni pedagogowie radzieccy zdecydowanie krytykują ten punkt widzenia, powołując się na uchwały Partii w tym względzie. Krytyka ta odsłania nam równocześnie postawę pedagogiki radzieckiej wobec „wychowania przez środowisko". Uwzględniając jego rolę pedagogika ta strzeże się od przesady. Przekonanie, iż człowiek kształtuje się pod wpływem środowiska, byłoby hołdowaniem podobnemu fatalizmowi jak ten, który głosili rasiści. Fatalizm taki był dobrze widziany przez teoretyków, pragnących niezmiennego trwania ustroju kapitalistycznego i jego warunków. Głosili go ci mieszczańscy teoretycy wychowania, którzy traktowali proces wychowania jako wynik społecznego otoczenia. Teorie socjologiczne wydawały się często słusznym lekarstwem na przerost biologicznego i psychologicznego punktu widzenia, ponieważ wskazywały, iż rozwój dziecka nie jest wyłącznie wynikiem jakichś „wewnętrznych" i „samoczynnych" procesów wzrostu, ale jest przede wszystkim wynikiem społecznych warunków, społecznej adaptacji jednostki.

Pedagogika radziecka chętnie korzystała z tego punktu widzenia, ale tylko do pewnych granic. Potraktowanie społecznego środowiska jako zasadniczego czynnika wychowania może być łatwo rozumiane w sposób konserwatywny. Może oznaczać wezwanie, aby wychowawcy zrezygnowali ze swej twórczej i odpowiedzialnej roboty, aby poddali się tzw. „wymaganiom życia". Wielu pedagogów burżuazyjnych — pisze Szimbiriew — głosiło te zasady właśnie dlatego, iż pozwalały one czynić z wychowania posłuszne narzędzie panującego porządku.

Czytelnia księgarni publicznej im. Karola Marksa w Tbilisi

Akademik J. W. Jakuszkin i zasłużony działacz naukowy Litewskiej S.R.R., D. L. Rudzinskas

W ten sposób rozumiana pedagogika socjologiczna była — wbrew pozorom — bardzo zgodna z pedagogiką psychologiczną, ponieważ podobnie jak i ona usuwała rolę celowego i świadomego wychowania. Czy dziecko rozwijało się „od wewnątrz" czy też pod „wpływem środowiska", było to już drugorzędną różnicą w porównaniu z tą podstawową zgodnością, która się wyrażała w pojmowaniu wychowania jako procesu rządzonego przez niezależne od wychowawcy prawa.

„Takie zaś pojmowanie — pisze Szimbiriew — które głosi fatalistyczne wyznaczenie procesu rozwoju podrastającego pokolenia przez warunki dziedziczności i otaczającego środowiska, jest zapatrywaniem głęboko reakcyjnym i nienaukowym". Upoważniało ono do niesprawiedliwego i lekceważącego traktowania dzieci warstw pracujących i ubogich, ponieważ i czynnik dziedziczny i czynnik środowiskowy miał tym dzieciom rzekomo uniemożliwić zrównanie się z dziećmi warstw wyższych.

Gonczarow jeszcze wnikliwiej analizuje niebezpieczeństwa socjologicznych teoryj wychowania. Przydatność ich zależy od słusznego pojmowania społeczeństwa, tymczasem w socjologii mieszczańskiej przeważają pojęcia fałszywe i szkodliwe. W szczególności pedagogika sowiecka musi się odgraniczyć od idealistycznych i fatalistycznych sposobów pojmowania życia społecznego. Idealiści pojmują je w duchu przesadnego woluntaryzmu i moralizmu, sądząc iż życie społeczne jest nieograniczenie uległe wobec woli i świadomości ludzi, wulgarni materialiści sądzą, iż jest ono wytworem sił, na które ludzie nie mają żadnego wpływu. „Dla idealistów — pisze Gonczarow — idea dowolnie zakwitająca w głowie pojedynczego człowieka wyznacza cały rozwój społeczny, dla wulgarnych materialistów człowiek wydaje się ślepą igraszką działających automatycznie praw gospodarczych".

Obu tym błędom należy się przeciwstawić. Rozwój społeczny — podobnie jak rozwój przyrody — ma swe niezłomne prawa, ale prawa te, poznane, stają się podstawą ludzkiego działania, celowego i sprawnego. „Marksizm - leninizm — pisze Gonczarow — wykazał naukowo, iż działanie materialnych, społecznych sił, niezależnych od woli i świadomości człowieka nie przekreśla i nie umniejsza aktywnej roli i walki ludzi, klas, a więc i nie poniża roli teorii. Ludze sami tworzą swą własną historię, poznanie ludzkie nie tylko odzwierciedla obiektywną rzeczywistość, ale ją tworzy — pisał Lenin. Ale tworząc historię ludzie tworzą ją zawsze w ramach określonych okoliczności, niezależnych od ich woli i poznania. Sam proces przekształcania ludzi, ich pojęć, poglądów, przekonań nie jest wynikiem biernego odzwierciedlania ani przystosowywania się do zmieniających się ekonomicznych warunków. Zmiany te zachodzą w procesie aktywnej działalności, w procesie walki. Panując nad przyrodą człowiek przekształca własną naturę. W procesie aktywnej działalności i walki człowiek poznaje wciąż lepiej prawa przyrody, prawa rozwoju społecznego, a czym lepiej poznaje te prawa, tym pewniej i aktywniej tworzy on historię".

Odwołując się do pism Marksa i Engelsa Gonczarow z całym naciskiem przeciwstawia się koncepcjom automatyzmu społecznego, który czyni z woli i świadomości ludzkiej nieważne elementy historii. Tak zwana „nadbudowa" nie jest tylko wyrazem warunków ekonomicznych. Wyrastając z nich uzyskuje ona pewne znaczenie, dodatnie lub ujemne, może ułatwiać procesy rozwoju, może je utrudniać i krzyżować. „Całkowicie niesłusznym — pisze Gonczarow — jest twierdzenie, iż rozwój historyczny jest jakimś mechanicznym procesem, określanym wyłącznie przemianami sił wytwórczych. Polityczny sens takiego twierdzenia sprowadza się do uznania, iż postęp dokonywa się automatycznie i pokojowo... takie wulgarne i antynaukowe pojmowanie czynnika ekonomicznego wyklucza konieczność aktywnej, politycznej walki. Taka postępowość wyklucza rewolucyjną walkę i ujmuje człowieka jako igraszkę fatalizmu ekonomicznych warunków".

Podkreślenie doniosłości świadomego i celowego wysiłku człowieka nie może być oczywiście interpretowane jako zachęta do indywidualistycznej dowolności. Jak w przyrodzie, tak i w społeczeństwie człowiek może przeprowadzać swe zamiary tylko w posłuszeństwie wobec praw, które poznaje jako prawa rządzące rzeczywistością. Odrzucenie i lekceważenie tych praw wiodłoby ku „wulgarnemu woluntaryzmowi", jak to określa Gonczarow. Właśnie wychowanie powinno ukazywać człowiekowi te prawa i konieczności, i dzięki temu włączać go w zespół tych ludzi, którzy poznając je stanowią awangardę postępu.

Gdy więc mówimy, iż proces wychowania jest społecznym procesem, i że prawa rządzące wychowaniem nie są biologicznymi, ale socjologicznymi prawami, to mówimy prawdę, pod warunkiem jednak, iż będziemy życie społeczne rozumieć w duchu marksizmu. Odrzucimy więc te wszystkie sposoby pojmowania społeczeństwa, które albo ujmują je w kategoriach niezmiennych, zawsze jednakich, wiecznych, albo też widzą jego rozwój jako automatyczne, ewolucyjne procesy .I odrzucimy koncepcję wychowania jako biernego przystosowywania do warunków społecznych.

„Środowisko — piszą Gonczarow i Jesupow — wpływa na rozwój dziecka. Ale środowisko to nie jest niezmienne. Środowisko, dla którego stają się znamienne przejawy gorącej miłości ku socjalistycznej ojczyźnie, w w którym normami postępowania są prawidła socjalistycznego współżycia, środowisko to jest samo przecież wynikiem rewolucyjnego przekształcenia społeczeństwa, wynikiem nowego wychowania".

Proces wychowania — taką jest więc główna myśl pedagogów radzieckich, którą formułuje ostatnio Kairow — nie może być pojęty ani jako proces wyznaczony czynnikami biopsychicznego rozwoju i dziedziczeniem, ani jako proces wyznaczony przez otoczenie i środowisko społeczne, ani jako proces kierowany wyłącznie wolą wychowawcy. Wszystkie te czynniki działają równocześnie, zbieżnie i rozbieżnie, w walkach i przeciwieństwach, w harmonizacji w różnorodnych układach. Ale szczególne znaczenie przypisywane być musi świadomej i celowej pracy wychowawczej, organizowanej systematycznie i wytrwale, na usługach rewolucyjnych zadań społecznych, apelującej do aktywności i świadomości wychowanków, którzy osiągając coraz lepsze poznanie, stają się coraz bardziej czynnymi i odpowiedzialnymi twórcami rzeczywistości, a przez to i samych siebie.

Przyznanie pracy wychowawczej ważnej i odpowiedzialnej roli, odrzucenie zakusów psychologii i socjologii, zmierzających do zredukowania tej pracy wyłącznie do posłusznego spełniania dziejących się fatalizmów, wyznacza również i teorii pedagogicznej odrębny przedmiot badań, związany oczywiście z warunkami biopsychicznymi i społecznymi, ale nie identyczny z nimi. Przedmiot ten ujęty być może tylko z pomocą metody marksistowskiej.

E C J I

Oni wtargną do waszych
Luksusowych pałaców
Wyściełanych foteli gdzie śmierć innych tak lekka
Okrucieństwu waszemu — męstwo daje odpowiedź
Zabijacie — są nowi
Powstają jak z kamieni dzieci Deukaliona
Broń do ręki i naprzód i na karki spadają
(Pyta żołnierz najeźdźca o co walczy dla kogo)
I dopadną w wąwozach i zaszczują pogonią
I najszybszych prześcigną i powrócą by zetrzeć
Wszędzie tam są Andartes
Gdzie wrogowi się nie śni

* * *

Andartes
Nie żołnierze jesteście — wy jesteście bojowcy
Żołd wasz cały to nędzne legowisko z kamieni
Dni i noce w pochodach uciążliwe i głodne
Przyodziewek w łachmanach i bez spodów trzewiki
Domostw waszych ruiny wiosek nędznych pożary
Zagubieni bez wieści krewni dzieci i żony
Nikt rozkazem nie wzywał — wasza to była sprawa
Skład oddziału podobnie
Jest w nim góra i rozpacz gniew
Nienawiść i miłość
W nielegalności hartowani
Z bronią wrogowi odebraną
Wy dziś jesteście zwycięzcami
Ojczyzno piękna wolności rozumu
Twe posłannictwo wróg bezcześci
Wolność i piękno znieważone
A rozum zbrodniarzowi służy
W fabrykach mordu i nieszczęścia
Ale lud zbrojny wroga zmiażdży i wolność żagle swe rozwinie
Miastu Ateny — nowa sława
Zwycięży syn twój odszczepieńca
Synowie ziemi twej zwyciężą
I ci co w kraju swym dalekim chłonęli Grecjo twe nauki
W przeszłość swą świetną zapatrzona
Zwiastujesz nowe życie wolne!

Przekład z jęz. franc.
Jana Guranowskiego

Wiesław Jażdżyński

Ochrona pracującego człowieka

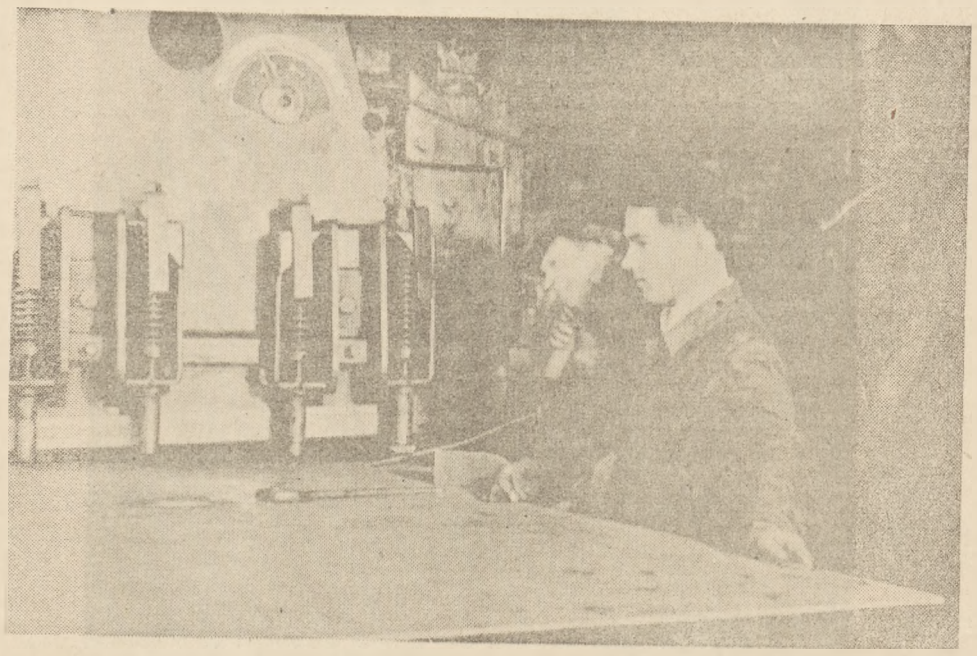

Wyrasta nowe pokolenie przodowników pracy

Na terenie naszej klasy robotniczej, w setkach zjednoczeń przemysłowych i tysiącach fabryk pojawił się nowy, nieznany dotąd pracownik — referent socjalny. Mamy obecnie w Polsce około 12.000 ludzi prowadzących akcję socjalną, nazywaną bardzo często — „opieką nad pracującym człowiekiem“. Zakres działalności nowy, ale nie przypadkowo powstały. Przeciwnie — konieczność prowadzenia na szeroką skalę akcji socjalnej wynika z bieżącej sytuacji rozwojowej naszej produkcji.

Jakaż to sytuacja?

W przemówieniu wygłoszonym na pierwszej wszechzwiązkowej naradzie stachanowców (17.11.1935) mówił J. Stalin: „Dlaczego kapitalizm obalił i przezwyciężył feudalizm? Dlatego że stworzył wyższe formy wydajności pracy, umożliwił społeczeństwu otrzymywanie bez porównania większej ilości produktów, niż to było w ustroju feudalnym. Dlaczego socjalizm może, musi zwyciężyć i bezwzględnie zwycięży kapitalistyczny system gospodarki? Dlatego, że może dać wyższe wzory pracy, wyższą wydajność pracy niż kapitalistyczny system gospodarki. Dlatego, że może dać społeczeństwu więcej produktów i może uczynić społeczeństwo bogatszym niż kapitalistyczny system gospodarki“.

Czy dziś osiągnęliśmy w produkcji wyższą wydajność pracy i rzucamy na rynek większą masę towarową niż przed wojną? Na to pytanie klasa robotnicza odpowiedziała twierdząco. Odpowiedzieli twierdząco górnicy z kopalni „Generał Zawadzki“, gdzie na 3.800 zatrudnionych liczba przodowników pracy, wykonywujących normę od 180 procent wzwyż, przekroczyła 1.100 robotników, podobnie robotnicy z huty „Batory“, która szczyci się 600 przodownikami pracy (na 7.700 ludzi załogi), odpowiedziało 282 przodowników z Zakładów Cegielskiego, tj. ci, którzy co najmniej trzy razy zdobywali pierwsze miejsca we współzawodnictwie pracy. Można wymienić dziesiątki tysięcy młodych i starszych robotników posiadających podobnie jak Czesław Zieliński, czy Bronisława Świtoniak — ów „szósty zmysł“ przodownika pracy, który oznacza doskonałą znajomość narzędzi i procesu produkcji.

Na naszych oczach, w ciągu czterech ostatnich lat wyrośli nowi ludzie. Ludzie ci w twardej pracy zdobyli niespotykaną dotąd pewność oka i ręki, „podkuli się“ technicznie tak dalece, że bez trudu przekraczają pięcio- i dziesięciokrotnie dawne normy produkcyjne. I ustalają normy wyższe, odpowiadające wyższej formie organizacji produkcji.

To jest podstawowa prawda o bieżącej sytuacji naszej klasy robotniczej, jeżeli chodzi o jej stosunek do prodkucji. Osiągnęliśmy przełom charakteryzujący się twórczą inicjatywą przodowników, wraz z powszechniejszym entuzjazmem pracy, wyższymi normami produkcyjnymi, a w rezultacie imponującymi rezultatami produkcji.

Jeżeli bowiem przyjmiemy wskaźnik 100 dla naszej produkcji z 1938 roku, to w roku 1945 wynosił on — 38, w roku 1946 — 77, w następnym 107, a w ubiegłym 1948 roku już 140.5.

Oznacza to, że nasz nowy ustrój, nasze przesuwanie się ku socjalizmowi, jest wyższą formą organizacji produkcji niż kapitalistyczna.

Nasi robotnicy zapomnieli już o bezrobociu. A w Stanach Zjednoczonych liczba bezrobotnych idzie w setki tysięcy. To właśnie tam, w USA dzień w dzień domagają się ludzie pracy, ale jej nie dostają.

U nas czekamy stale na ręce do pracy. Po drugiej stronie Europy, w krajach zachodniej demokracji, trwają nieprzerwanie z mniejszą lub większą gwałtownością strajki, produkcja spada, spada wydajność pracy. U nas wydajność pracy i dyscyplina pracy — rosną. Tam — dziesiątki tysięcy ludzi w noce i dnie, w pogody i deszcze czeka w niekończących się ogonkach na zasiłek dla bezrobotnych. Dzieci, które wychowuje ulica, gruźlicze dzieci robotnicze, pozostawione samym sobie, matki zbierające nierzadko niedopałki papierosów rzuconych niedbale przez żołnierzy amerykańskich, ojcowie — robotnicy pędzeni przez policję, zakazy manifestacji pierwszomajowych — oto tylko niektóre elementy sytuacji klasy robotniczej na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych, gdzie nawet jeszcze i dziś nie istnieje ministerstwo zdrowia publicznego ani jakakolwiek społeczna służba zdrowia.

Dochód społeczny przeciętnego obywatela w krajach zachodnich demokracji kurczy się z roku na rok, podczas gdy my w 1947 roku osiągnęliśmy czternastoprocentowy wzrost dochodu społecznego w stosunku do roku poprzedniego.

W krajach kapitalistycznych nie opiekują się rządy klasą robotniczą. A w Polsce mamy już 12-tysięczną armię pracowników, prowadzących w przemyśle akcję opieki nad pracującym człowiekiem. I mamy zagwarantowane w tegorocznym budżecie 13.780.000.000 złotych na akcję socjalną dla klasy robotniczej.

Społecznej funkcji nowego, nieznanego dotąd pracownika — referenta socjalnego trzeba się przyjrzeć bliżej.

Cóż to bowiem znaczy, że referent socjalny Zjednoczenia Przemysłowego, czy określonej fabryki organizuje i dba o sprawne funkcjonowanie takich instytucji jak żłobki-dziecińce, poradnie zdrowia, prewentoria, organizuje akcję wczasów letnich i zimowych, organizuje społeczno-kulturalne życie w zakładach przemysłowych, a więc instruuje i kontroluje pracę świetlicy, zespołów świetlicowych, dogląda biblioteki, roznieca czytelnictwo prasy i książek?

To znaczy, że w akcji socjalnej chodzi o to, aby robotnik nasz, ten właśnie, który już posiada „szósty zmysł“ przodownika, albo może go posiąść, mógł dzięki wzmożonej pracy produkcyjnej zaspokoić wszystkie potrzeby materialne i kulturalne, jeżeli da się tu zastosować popularne rozróżnienie. Znaczy równocześnie jeszcze więcej — akcja socjalna stabilizuje robotnika w fabryce, wiąże go w sposób stały z warsztatem produkcyjnym.

Dla pomyślnego wykonania zadań stojących obecnie przed klasą robotniczą ma to znaczenie decydujące. Plan sześcioletni przewiduje wzrost produkcji przemysłowej o 85—95% w stosunku do roku 1949. W związku z tym trzeba będzie zbudować około 350 większych zakładów przemysłowych, przygotować do wyższej socjalistycznej organizacji produkcji, „podkuć“ technicznie blisko 900.000 robotników, około 100.000 techników i 24.000 inżynierów

Przykłady Czesława Zielińskiego, Bronisławy Świtoniak, tysięcy przodowników, którzy potrafili właśnie dzięki praktyce opanować doskonale technikę swego zawodu, pokazują, że droga do zmobilizowania i wyposażenia w znajomość techniki produkcyjnej prowadzi między innymi poprzez fabrykę. Przecież tą drogą doszło na kierownicze stanowiska w przemyśle około 13.000 robotników. Jest właśnie czas, kiedy nasza klasa robotnicza przystępuje do tworzenia swojej własnej inteligencji techniczno-wytwórczej, przy pomocy której wypełni zobowiązania zawarte w planie sześcioletnim. Ale wytworzenie własnej inteligencji technicznej ma swoje warunki. Wykonywanie planów produkcyjnych w fabryce jest w znacznej mierze zależne od tego, czy zespół robotniczy jest ustabilizowany. „Nie trzeba chyba dowodzić, że bez stałego zespołu robotników, którzy mniej lub bardziej opanowali technikę produkcji i przywykli do nowych mechanizmów — niemożliwe jest posuwanie się naprzód, niemożliwe jest wykonanie planów produkcji. W przeciwnym wypadku trzeba by za każdym razem na nowo szkolić robotników i tracić połowę czasu na wyszkolenie ich, zamiast tego, aby wykorzystać ten czas dla produkcji“. (J. Stalin — „Zagadnienia leninizmu“).

W naszych hutach, kopalniach, najrozmaitszego typu zakładach przemysłowych mamy wszędzie czołówkę przodowniczą, ludzi o pewnym oku i ręce, którzy tworzą podstawowe ogniwa wytwórczości, są najlepszymi nauczycielami nowych, awansujących w technicznym poznaniu narzędzi i techniki produkcji robotników. Trzeba ustalić, dopilnować interesów społeczno-kulturalnych pracujących produkcyjnie, trzeba ustabilizować nauczycieli-przodowników i uczniów. Inaczej fabryka nie będzie jedną z najpoważniejszych dróg wytwarzania nowej inteligencji technicznej, niezbędnej do wykonania sześcioletniego planu.

I właśnie w zakresie prac referentów socjalnych leży opieka nad robotnikiem walczącym o większą wydajność pracy, to znaczy — ochrona produkcji. Na czym ona polega?

Przyjrzyjmy się warunkom życia klasy robotniczej. Jakiż spadek otrzymaliśmy po ustroju kapitalistycznym? Suteryny i piwnice dla robotników, suche i wygodne apartamenty dla burżuazji charakteryzowały sytuację mieszkaniową w przedwojennej Polsce. Warszawa liczyła około 1936 roku 6% suteryn i piwnic na ogół mieszkań. Te 6% wypełniało 10% wszystkich mieszkańców stolicy. Wypełniali robotnicy. „W suterynach zatęchłych, w smrodliwych norach, serce drze człowiekowi dziecięcy płacz. Dzisiaj i wczoraj beznadziejnie są smutne“ — tak charakteryzuje kronikarz sytuację życiową proletariatu łódzkiego z międzywojennych lat.

Proletariackie dzieci łódzkie... żywione przeważnie ziemniakami, kapustą, kaszą, ale bardzo rzadko mięsem, masłem i jajami, spędzające młodość w suterynach i na ciemnych podwórkach. Przeprowadzone w roku szkolnym 1934/35 na terenie Łodzi badania stanu zdrowia dzieci wykazały, że dobrze odżywionej i dobrze zbudowanej młodzieży (uczniów i uczennic szkół powszechnych) było — 21,4% ogółu, średnio — 59,5%, a stan zły stwierdzono u 19,1% — to znaczy u co piątego dziecka, przeważnie pochodzenia robotniczego. Dzieci gruźlicze, kalekie. Przyczyn niemal wszystkich chorób trawiących klasę robotniczą należy szukać w dzieciństwie. Według obliczeń prof. Wierzejewskiego na 60.000 kalek w Polsce — 80—90% byłoby nie popadło w choroby, gdyby je od dzieciństwa leczono. Ale robotnik nasz nie mógł wysyłać swoich dzieci ani na wieś, ani w góry, ani nad morze, tak jak sam nigdzie nie wyjeżdżał. Akcja wczasów wypoczynkowo-zdrowotnych, opieka szpitalna i sanatoryjna w skali masowej realizowana jest dopiero przez referenta socjalnego.

Czy w przedwojennych, kapitalistycznych warunkach wielcy przedsiębiorcy nie zakładali szpitali dla klasy robotniczej? Owszem, tu i ówdzie — tak. Ale fundacje łódzkich Herbstów i Geyerów nie oznaczały zrozumienia potrzeb życiowych pracującego człowieka. Były tylko miarą ustępstw kapitalistów na rzecz walczącego o prawa do ludzkiego życia proletariatu. Pełniły funkcję odtrutek na socjalizm. Ale np. kapitalistyczny klan Poznańskich załatwiał żądania robotnicze przy pomocy policji i więzienia. W ten sposób postępowała większość fabrykantów. Zresztą w kapitalistycznej strukturze rynku pracy istniała zawsze olbrzymia podaż rąk roboczych, przy małym i stale malejącym popycie, wzrastającym gwałtownie bezrobociu. Tak jak dzieje się to dziś w USA, Francji i Włoszech. A okres bezrobocia rodziców, to równocześnie okres powolnej śmierci niemowląt i dzieci robotniczych, okres przygotowujący je do gruźlicy, nieżytów, zapaleń opon mózgowych, jaglicy.

Brak pieniędzy na chleb, węgiel i odzież, brak kredytu u mieszczańskiego sklepikarza, głodowe zapomogi — to były warunki, w których przychodziły dzieci robotnicze na świat. Burżuazyjni moraliści mówili wtedy o nieroztropności proletariatu, lekkomyślności a nawet przesadnym używaniu rozkoszy. Mówili również o nielicznych ośrodkach zdrowia dla pracującego człowieka, ośrodkach pełniących funkcję łatek w kapitalizmie, wtedy, kiedy setki tysięcy robotników wydalali równocześnie z pracy, wyrzucali dosłownie na bruk, usuwając nawet z ponurych przyfabrycznych domów robotniczych.

Warunki te rodziły wysoką śmiertelność wśród robotników i ich dzieci, rodziły masowo sieroctwo. Prowadzone jeszcze w roku 1945 badania nad sieroctwem ustaliły, że liczba sierot i dzieci opuszczonych (od niemowlęctwa do 18 roku życia) przekroczyła 15% ogółu dzieci.

Dzieci te przygarnęły w pewnej części najrozmaitsze zakłady wychowawcze. Zakłady te, przeważnie zakonne, znane jeszcze sprzed wojny, były lustrowane w 1946 roku przez pracowników Polskiego Instytutu Służby Społecznej.

„Według danych z lustracji na 323 zakłady — 158 (tj. 49%) jest prowadzonych przez zgromadzenia zakonne jawne. Co do 32 dalszych domyślamy się, że prowadzą je zgromadzenia zakonne ukryte“. (S. Chmielińska, „Służba Społeczna“ nr 74). Wyniki lustracji okazały się straszne. Stwierdzono m. in., że w 12 zakładach w ogóle nie było apteczek, w innych — bardzo słabo zaopatrzone. Zakłady nie prowadziły zajęć świetlicowych. „Życie dziecka w zakładzie składa się z nauki, pracy gospodarczej, często bardzo ciężkiej (np. noszenie i pompowanie wody, pranie, szorowanie) i nudy“ — pisze p. Chmielińska. W takich zakładach wychowawczych, gdzie była i jest gospodyni piśmienna, a pielęgniarka analfabetka, uwięziło niemało opuszczonych dzieci robotniczych, pozbawionych nie tylko życia kulturalnego, ale i opieki zdrowotnej. Zaledwie 10% omawianych zakładów posiadało „stałego“ lekarza, przychodzącego w najlepszym wypadku raz na tydzień, zazwyczaj — dwa razy w miesiącu. Oto mamy relikty, smutne pozostałości po burżuazyjnym sentymentalizmie, po nieodłącznym curiosum kapitalizmu — filantropii.

Dopiero referent socjalny, w ramach akcji wychowawczej i zdrowotnej, prowadzonej przez państwo ludowe, organizuje żłobki, przedszkola, półkolonie i kolonie dla dzieci robotniczych, tak jak organizuje stałą opiekę sanitarną dla robotników w oparciu o tysiące szpitali, prewentoriów, uzdrowisk.

292 uruchomionych na początku ubiegłego roku przedszkoli robotniczych, gdzie na koszt zakładu pracy wychowywało się ponad 40.000 dzieci, ponad 155.000 robotniczych dzieci na koloniach i półkoloniach — kształtują nową atmosferę więzi klasy robotniczej z miejscem pracy. Rozwiązują się tu dwa problemy: dorasta zdrowe zaplecze dla czynnych bieżąco w produkcji, po drugie likwidowana jest troska robotników i robotnic o los potomstwa. Podobnie akcja wczasów wypoczynkowych i masowe leczenie sanatoryjne wytwarza nieznany dotąd typ przywiązania robotnika do zakładu pracy, kształtuje i ustala patriotyzm robotniczy, który mierzy się osiągnięciami produkcyjnymi.

Wszystkie zakłady pracy, w których funkcjonują instytucje ochrony pracującego człowieka, posiadają na ogół stałe załogi, a płynność siły roboczej, porzucanie zawodu, owa plaga dla utrzymania wzmożonego tempa produkcji — nie występuje w znaczący sposób.

Straszliwą spuściznę po ustroju kapitalistycznym przejął nowy pracownik społeczny klasy robotniczej — referent socjalny. A jednak w naszych oczach dokonuje się przemiana. Przodownik pracy produkcyjnej wykazał już, że dzisiejszy robotnik rozumie doskonale pracę maszyn, zna procesy chemiczne, zjawiska fizyczne, występujące przy pracy maszynowej, że potrafi je coraz lepiej organizować i osiągać coraz to większą wydajność pracy. Referent socjalny chroni te osiągane w twardej pracy zdobycze produkcyjne. Chroni poprzez żłobki, przedszkola, poprzez organizowanie społeczno-kulturalnego życia w Zjednoczeniach i fabrykach.

Ale rozmowy z referentami socjalnymi wskazują poważne trudności w pracy, szczególnie na odcinku prac kulturalno-oświatowych, ściślej mówiąc — prac świetlicowych.

Mamy obecnie ponad 10.000 świetlic robotniczych. Są to jednak często punkty martwe. Atmosfera kulturalna naszych czynnych jako tako świetlic straszy przeszłością. Wiadomo przecież, że na zeszłorocznym festiwalu zespołów świetlicowych chór kolejarzy otrzymał pierwszą nagrodę za piękny śpiew. Ale śpiewał szlachecką pieśń Moniuszki „Rycerz to pan“. Wiadomo, że żaden z deklamatorów nie wystąpił z poezjami Broniewskiego, Dobrowolskiego czy Szymańskiego, a „słowo o Jakubie Szeli“ było — jak pisze min. Sokorski — „całkowicie wyprane z problematyki

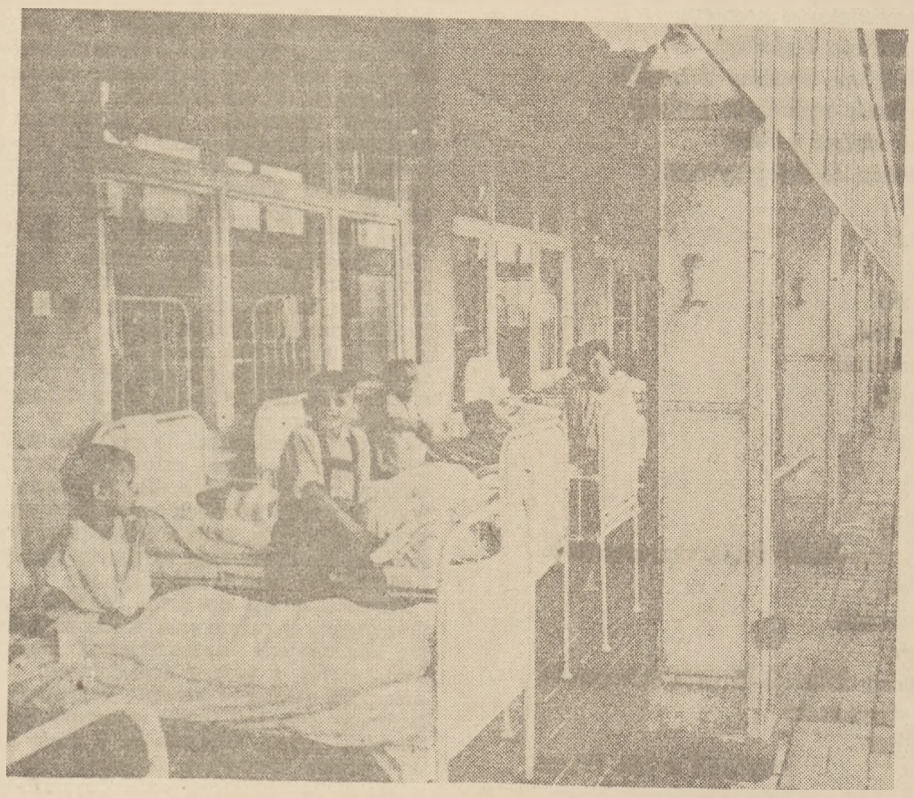

Powstają sanatoria dla dzieci robotników i chłopów

klasowej". Zresztą pokazano na festiwalu Z. Z. niemało sztuk o charakterze religijno-parafialnym.

Pracownicy socjalni stwierdzają w wypowiedziach, że niektórym robotnikom więcej podobają się jak dotąd występy Dymszy niż dobra książka, więcej dzieje klasy robotniczej w ujęciu Morcinka niż Lucjana Rudnickiego. Jest bardzo znamienne, iż przodownik pracy, członek partii i rady zakładowej, dojrzały politycznie robotnik, nie zawsze potrafi wyeliminować mechanicznie wpływów kultury drobnomieszczańskiej.

Pamiętnik Ireny Nieznaniec („Pamiętniki robotników okresu okupacji") jest jeszcze reprezentatywny dla postawy niemałej części robotników. „Iwaszkiewicz — pisze I. Nieznaniec — jest moim najbardziej ulubionym pisarzem... nawet jego bezradność wobec ludzi i świata była często moją bezradnością.. Tyle w naszym życiu jest zwyczajnego przypadku".

Człowiek niepewny jutra gnany od przypadku do przypadku — charakterystyczna postawa degradowanego społecznie i chronicznie drobnomieszczaństwa przez wielki kapitał, przenikała i do klasy robotniczej zmuszanej również przez ustrój kapitalistyczny do życia bezplanowego.

Rzecz prosta, w naszych warunkach społeczno-historycznych klasa robotnicza musiała być i była pod silnym wpływem kultury drobnomieszczańskiej. Proces uwalniania się od tego wpływu potrwa jeszcze długo. Ale przodownik pracy, podstawowe ogniwo produkcji, nie może powtarzać, że tyle jest w jego życiu przypadku, ponieważ nie przypadkowo, lecz w planowej pracy doszedł do wyższych osiągnięć produkcyjnych. To właśnie plan, możność przewidywania przyszłości konstruuje jego los i całej klasy pracującej. Plan, który eliminuje przypadek, likwiduje niewiadome.

Istnieje zatem potrzeba ustabilizowania klasy robotniczej w nowej kulturze, w nowej literaturze, która odtworzy przyszłość klasy robotniczej i narodu tak, jak da się ją przewidzieć poprzez wzrost produkcji. Na gruncie nowych stosunków produkcji musi powstać, ukształtować się odpowiadajaca im nadbudowa kulturalna. I dopiero wtedy będzie można mówić o ochronie produkcji poprzez kulturę.

W czasie kursów zorganizowanych przez Ministerstwo Przemysłu dla pracowników socjalnych dyskutowali i nadal dyskutują referenci zagadnienie ożywienia życia społeczno-kulturalnego w zakładach przemysłowych i wskazują na konieczność starannego przeprowadzenia typologii świetlic, rozróżniania ich funkcji w zależności od charakteru zakładu pracy i położenia geograficznego. Uważają słusznie, że w dużych ośrodkach miejskich należy raczej rezygnować z zamkniętych świetlic przyfabrycznych. Robotnicy mieszkają nieraz po kilka kilometrów od zakładu pracy, nie przychodzą do takiej świetlicy. Ale chętnie będą przychodzić do świetlic rejonowych, to jest — związanych z miejscem zamieszkania.

Natomiast świetlice w małych miasteczkach, położone niejako na miedzy między wsią i miastem powinny być otoczone szczególną opieką nie tylko dlatego, że stanowią często jedyną instytucję społeczno-kulturalnego życia pracujących w okolicy robotników, ale i dlatego, że przyciągają chłopów. Te świetlice, miejsca styku kulturalnego klasy robotniczej i chłopskiej, należy odpowiednio wygrać. Wielu referentów socjalnych wypowiada się, iż 60—80% w świetlicach, w prowincjonalnych świetlicach, to właśnie młodzież chłopska. Młodzi chłopi słuchają z zapartym oddechem wypowiedzi przodowników pracy na temat ich walki o nową, wyższą formę wydajności w produkcji, o dyscyplinę i organizację pracy. Są to ci, którzy w najbliższej przyszłości ruszą do pracy w przemyśle, wypełnią szeregi ponad-milionowej armii, potrzebni do wygrania nowej bitwy w przemyśle — o wykonanie planu 6-letniego. Zaciąg do milionowej armii robotniczej w znacznej mierze odbędzie się wśród chłopów i nie jest wobec tego obojętne, czy młode pokolenie chłopów „zachwyci się do pracy" produktywnej w przemyśle. Poza tym styl robotniczego życia, wyższa organizacja pracy, większa jej wydajność, zdobycze socjalne, to wszystko w mniejszym lub większym stopniu da się przerzucić na teren rolnictwa, do pierwszych spółdzielni produkcyjnych majątków rolnych, niemałej ilości ośrodków maszynowych, to dopomoże w rozbiciu kapitalistycznych stosunków w produkcji rolniczej, będzie kształtować sojusz robotniczo-chłopski.

I właśnie referent socjalny, zwłaszcza ten, który pracuje w zakładach, sąsiadujących o miedzę ze wsią i ten, który obejmie setki nowych fabryk, jakie powstaną m. in. na terenach nieuprzemysłowionych w ramach planu 6-letniego, może tego dokonać.

Czy można na pracowników socjalnych naszego przemysłu liczyć? Niewątpliwie, jakaś część spośród 12.000 referentów, jest dobrana przypadkowo i odpadnie, nie sprosta wielkim zadaniom. Ale i tu możemy mówić o przodownikach w akcji ochrony produkcji. Cóż to za ludzie? Analiza życiorysów nowych pracowników wykazuje, że wielu spośród nich to uczestnicy walk o lepsze jutro proletariatu: Starzy działacze partyjni i młodzieżowi działacze. Są pośród nich organizatorzy robotniczego ruchu oporu w całej Europie, w Hiszpanii, Francji i Czechosłowacji, są byli oficerowie i żołnierze I-go Korpusu, są niedawni przodownicy w pracy produkcyjnej. Referentem socjalnym jest dziś Bronisława Świtoniak. Są to zatem ludzie, którzy przeszli okres walk o wolność polityczną proletariatu, wygrali walkę o nową wyżej niż kapitalistyczna zorganizowaną produkcję. Ludzie, którzy potrafią czynnego produkcyjnie człowieka chronić.

Wiesław Jażdżyński

Anna Kamieńska

TRYLOGIA WIEJSKA STANISŁAWA PIĘTAKA*)

W tradycjach prozy XX-lecia powieść o wsi stanowi osobny i ważny nurt zarówno dla stylizacji literackiej, jak i dla ideologicznej pożywki literatury. Mamy tu bowiem powieść historyczną o tendencjach rewizjonistycznych wobec solidarystycznego, bezklasowego ujęcia wsi (Kruczkowski), powieść realistyczną z marksistowskich pozycji ideologicznych (Kowalski, Wasilewska) i z pozycji chrześcijańsko-moralistycznych (Wiktor), reportaż powieściowy (Burek, Kędziora) oraz psychologiczny naturalizm (Kurek). Do tych typów ujęć środowiska wiejskiego i przez Żeromskiego przekazanej „sprawy chłopskiej" dodać należy jeszcze rodzaj powieści operującej stylizacją groteskową, wywodzącą się z poetyki awangardy. Tutaj mamy na myśli książkę Flukowskiego „Urlop bosmanmata Jana Kłębucha" i nagrodzoną „nagrodą młodych" PAL-u powieść Stanisława Piętaka — „Młodość Jasia Kunefała". Mimo tak oficjalnie ważącej nagrody literackiej powieść Piętaka przyjęta została przez lewicę literacką z rezerwą. Pisał o niej Jerzy Putrament w „Sygnałach" w 1938 r. w artykule pod wiele mówiącym tytułem: „Zaraza poetyckości". W artykule tym Putrament dyskutując z „Pionem" bił na alarm w obronie realistycznej prozy powieściowej — zalewanej wodami poezji lirycznej, która przerwawszy tamy wiersza wdziera się do prozy, piętnował „chorobliwy wdzięk" obrazowości poetyckiej, brak wyrazistych postaci i konstrukcji powieściowej — wobec czego powieść jest zlepkiem epizodów narracyjnych. Antyrealizm młodej literatury z Piętakiem na czele, antyrealizm wykluty w kręgu młodej cyganerii warszawskiej i metafizycznych wizyj Witkiewicza — grozi literaturze — jak twierdzi krytyk rzeczą najstraszniejszą — grozi „pomniejszeniem, zubożeniem możliwości twórczych, możliwości oddziaływania pisarza na społeczeństwo". I dalej: „Poeci, którzy stracili „rząd dusz", przerzucają teraz zarazę własnej małości na prozę"

Oczywiście zarzuty podobne wytaczane wówczas wobec powieści Piętaka mimo, że zasadniczo trafne, ulegają dziś przesunięciom. Raz dlatego — że samo życie zdmuchnęło sielankową wizję poetycką, unieważniając i wysuwając na czoło sprawy nie opatrzone jeszcze poetyckim konwenansem, drugi raz — ponieważ sam autor, dopisując do „Młodości Jana Kunefała" dwie dalsze części w trzech powieściach, oganiał się z większym, to mniejszym powodzeniem od poetyckości i odgarniał, na ile można było, awangardową — poczechowiczowską stylizację wsi — pejzażu i ludzi. To też pisana w stosunkowo dużych odstępach czasu i — można dodać — historii — trylogia wiejska Piętaka jest żmudną drogą do... tu usprawiedliwione wahanie. Jeśli: „droga do realizmu", to należałoby to odczytać ściszonym głosem, a przyjąć z dużymi zastrzeżeniami. Cała bowiem powieść Piętaka rozciągnięta w czterech książkach cierpi na zasadniczy mankament utrudniający niesłychanie jej ocenę w

Stanisław Piętak

kategoriach krytyki przyjętych wobec powieści: brak niemal zupełny fikcji literackiej, autobiografizm posunięty do naruszenia praw autorskich Stanisława Piętaka, który własne wiersze znane z tomów poetyckich przypisuje bohaterowi swemu Jasiowi Kunefałowi. Oczywiście stopień autobiografizmu w powieści nie powinen obchodzić krytyka, gdyby nie to, że Piętak z uporem walczy w swych książkach z iluzją powieściową i że wynikają z tego tak zasadnicze usterki kompozycyjne, jak te, na które zwróciła już uwagę krytyka przedwojenna. „Tłum epizodów" w pierwszej powieści tłumaczył się poetycką konstrukcją prozy utkanej z opowieści, anegdot, wspomnień, tłumaczył się senną wizyjnością i chorobliwymi majaczeniami bohatera. W następnych powieściach, w których postacie ludzi zaczynają się wynurzać ze snu, a tok narracji zbliża się do realistycznego — tym bardziej niebezpieczna wydawać się musi rozlewna mnogość epizodów przy braku postaci i akcji pierwszoplanowej. W ten sposób to, co było słabością pierwszej powieści Piętaka — wobec następnych — maleje i staje się niemal walorem literackim. Tak ma się sprawa z całą trylogią Piętaka — im dalej od „Młodości Jasia Kunefała", tym bardziej powieść pozbawia się podstaw literackiej tradycji, literackiej formy, a nie osiągając jednocześnie intelektualnego czynnika kształtującego powieść realistyczną — roztapia się w surowej faktografii. Ostatecznie w końcowej części najlepsze jest to, co pozostało z „Młodości Jasia Kunefała" — epizody pełne szorstkiej poezji — śmierć ojca („Nagi grom"), a potem doskonała w opisie śmierć matki („Ucieczka z miejsc ukochanych"), a więc zmierzch dwóch zasadniczych rodzinnych mitów w powieści będącej w ogóle „sagą" rodzinną. Mitologia rodzinna wsi dawnej — raz uroczej, to znów pełnej grozy w majaczeniach słabowitego dziecka wiejskiego, wsi pełnej fantazji chłopskiej i jednocześnie ciemnoty, wsi, która tkwi poza cywilizacją jako filozoficzne „dno życia" (Czechowicz) — ustępuje coraz bardziej i wyraźniej nowej wsi powojennej, która na razie wyraża się w proteście wobec nowego. Ta nowa wieś, a właściwe jej nowe dla Piętaka widzenie — jest materiałem dla realistycznej powieści społecznej, jest materiałem (mimo ukazanego wstecznictwa w opozycji chłopów wobec reformy rolnej) — pozytywnym. Ale ten pozytywny materiał powieściowy grzęźnie w elementach melodramatu nowelistycznego, naiwnego romansu, którego schematy niejednokrotnie powtarzane przez autentyczne życie — są Scyllą i Charybdą dla pisarza, który z krainy stylizacji literackiej dąży do realistycznego ujęcia rzeczywistości. Wyjść cało z tych trudności nie zawsze się Piętakowi udało, a powrotu nie ma.

Jeszcze jeden zasadniczy mankament powieści Piętaka to brak wyraźnego bohatera, brak zdecydowanych postaci poza paroma nie wpływającymi zresztą na bieg akcji: (ojciec, matka, brat Krzyś). Ubogości fabuły powieściowej złożonej z szeregu opowiadań wtrąconych odpowiada niejasność rysów bohatera, który to pojawia się, to znika zupełnie. Poza tym jest nim, obecny czy nieobecny — człowiek na wsi już obcy, związany z jej życiem tylko sentymentem i słabością niezakorzenionego w nurcie życia poza wsią inteligenta chłopskiego pochodzenia. W „Młodości Jasia Kunefała" bohater tkwił jeszcze rzeczowo w środowisku rodzinnym chłopskim, w następnych książkach — jest już na wsi tylko obcym przybyszem odnawiającym za każdym razem towarzyskie kontakty wiejskie — z kim? oczywiście z górą wsi, z lepszą kawalerką, z rządcówką, z plebanią, z grupką powiatowej inteligencji. Cała reszta wsi to płynne tło, a potem, w partii opowiadającej o przeprowadzeniu reformy rolnej na wsi — podmiot dość frazeologicznej działalności Jasia Kunefała — biedota wiejska. Zresztą grupa biedoty jako termin społeczny pojawia się dopiero przy końcu, gdyż Piętak nie przeprowadza wyraźnych rozróżnień społecznych wprowadzonych postaci. Wieś cała z racji wystąpień tylko gościnnych bohatera — przedstawia się jako zespół towarzyski i niejako dekoracyjny. Amory Weroniki wypełniające tom „Białowiejskie noce" i własne przygody erotyczne Jasia Kunefała na wsi i w powiatowym miasteczku nadają jeszcze wsi Piętaka gorące tło biologicznej, amoralnej krzepy. Gdyby uprzeć się w poszukiwaniu głównego wątku treściowego trylogii Piętaka — byłyby nim dzieje chłopskiego inteligenta, który mimo sukcesów w życu pozawiejskim — czuje się w nim wyrzutkiem społecznym, ciągnie go na wieś, gdzie nie ma już przecież żadnych interesów. Ta niemożność zerwania ze środowiskiem wiejskim przyczynia się właśnie do mitologizacji tego środowiska, do bezklasowej idealizacji zewnętrznego obrazu wsi w „Młodości Jasia Kunefała". Powieść Piętaka jest jeszcze jednym przykładem tych „ludomańskich" tendencji inteligencji chłopskiego pochodzenia, jakie śledziliśmy nieraz w prozie Goździkiewicza, Mortona i u wielu poetów z grupy „wiejskiej". Z tą różnicą, że Piętak odciął się wyraźniej niż oni od nowelistycznych wzorów pozytywizmu. „Tragedia inteligenta chłopskiego" polega na ogromnej rozpiętości ambicji kulturalnych i wzoru życiowego inteligencji i chłopów, niewspółmierności dążeń obu grup. W powieści Piętaka spotykają się one — słusznie — po wojnie wobec konieczności wprowadzenia wsi w nowy ustrój i tu dopiero Jaś Kunefał staje się istotnym bohaterem powieści o wsi — niefortunnym niestety działaczem. Po tym okresie i po śmierci matki—rozluźniającej węzły Jasia Kunefała ze wsią rodzinną — następuje ostateczna „ucieczka z miejsc ukochanych" — dokąd? właściwie w nową rodzinność, w melodramatyczny nieco wątek matrymonialny ostatniej powieści. Od czasu do czasu pojawia się obok Jasia drugi, legalniejszy zresztą bohater powieści o wsi, brat jego — Krzyś. Jest to obok rodziców Jasia Kunefała najsympatyczniej narysowana postać powieści, chory na ambicję — jak cała rodzina Kunefałów, trochę romantycznie zasępiony, po wojnie pracuje w Uniwersytecie Ludowym i dąży do wyższych studiów — nowy typ „chłopskiego inteligenta", nie zrywającego ze środowiskiem, działacza.

Najwyraźniejszym wątkiem całej trylogii Piętaka — ze szkodą bodaj dla całości zbyt rozciągniętym w czterech powieściach, są dzieje rodziny Kunefałów — duszne i ciemne, przetykane jaśniejszymi barwami tylko w opowieściach ojca — o charakterystycznej dla chłopskiego humoru rozwlekłości anegdoty pozbawionej pointy, operującej sytuacyjnym komizmem. W najlepszych opowiadaniach — nieskażonych obcym im liryzmem — Piętak wprowadza w język pełnowartościowej literatury — chłopską gawędę, żywą opowieść mówioną będącą istotnie potencjonalną „literaturą ludową". Ta żywa tradycja wiejskiej literatury mówionej jest czymś bardzo świeżym i wdzięcznym w powieściach Piętaka. Nie przeładowując balastem gwary i słownictwa gwarowego Piętak istotnie „przemienia" ludowe w nowoczesny język literacki prozy. Szkoda, że i te piękne fragmenty rozwodnione są poetyckością — zresztą coraz bardziej się zacierającą — i psychologicznym egotyzmem bohatera — Jasia Kunefała.

*) Stanisław Piętak. „Młodość Jasia Kunefała" — „Książka" 1947 r. Stanisław Piętak — „Białowiejskie noce" — „Książka" 1947 r. Stanisław Piętak — „Nagi grom" — „Książka" 1947 r. Stanisław Piętak — „Ucieczka z miejsc ukochanych" — „Książka" 1948 r.

Leszek Lorek

CZŁOWIEK – TO BRZMI DUMNIE

Po brzuchu gołym
bije tam — tam
fanatycznego tłumu.

Półsylaby
niezrozumiałej mowy.
W ósmym miesiącu ciąży
rodzą sie dzieci
półniemowy.
Niebo na krzywych nogach
i ziemia bez klatki piersiowej.

Niedonoszony płód świata
okrutne cięcie w brzuch
karabinowych salw.
Na olbrzymim globie
geograficzna siatka
rysowana krwią.

Człowiek — to brzmi dumnie
Te słowa bronią ptasich gniazd
spadłych w strumień.

Połamane ręce
kadłub utopiony bez głowy.

Mały robaczek
spacerujący
po mej dłoni
gdy to piszę
nie mówi nic.

Jutro muszę wyruszyć
by bronić
milczenia robaczka
na martwej dłoni.

Człowiek
to jednak brzmi dumnie.

Józef Bałtuszis

Tłum. Anna L. Gniadowska

PIEJĄ KOGUTY*)

Dramat w czterech aktach (fragment)

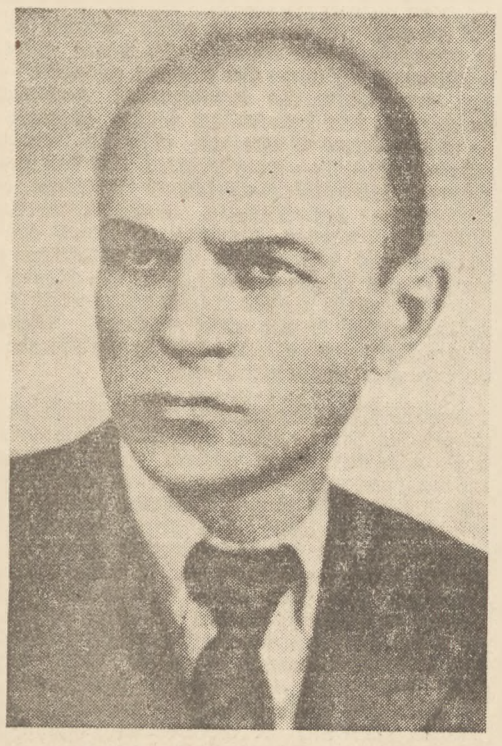

Jednym z czołowych pisarzy Litwy Radzieckiej jest Albert Juozenas piszący pod pseudonimem Józef Bałtuszis. Józef Bałtuszis, urodzony w 1909 r. dopiero w wieku lat 20 uczy się pisać i czytać. Do tego czasu pracuje jako pastuch a później parobek u bogatego gospodarza i nie ma czasu na „niepotrzebną", zdaniem pracodawcy, naukę. W 1929 r. Bałtuszis przenosi się do Kowna i zaczyna pracować w wydawnictwie. W trzy lata później drukuje swój pierwszy utwór literacki, nowelę pt. „Czerwonolistne buraki pastewne", podpisując ją pseudonimem. Piękna, dojrzała proza zwraca już wówczas uwagę krytyków na młodego utora. Tymczasem Bałtuszis uczy się introligatorstwa i w tym zawodzie pracuje aż do 1940 r. od czasu do czasu drukując swoje utwory. Drukuje zresztą nie wiele, gdyż większość nowel zostaje skonfiskowanych przez smetonowską cenzurę.

Pierwszy tom nowel pt. „Tydzień zaczyna się dobrze", wychodzi w 1940 r. Debiut przynosi autorowi niecodzienny sukces. Bałtuszis odrazu wysuwa się na czoło literatury litewskiej. W czasie wojny w Zw. Radzieckim ukazuje się drugi tom nowel pt. „Biała koniczynka", który potwierdza w zupełności opinię o olbrzymim talencie i dojrzałości młodego pisarza.

Sztuka „Pieją koguty" ukazała się drukiem w 1947 r. Pisze w niej Bałtuszis o tym, co go najbardziej obchodzi, co najlepiej zna i co mu jest najbliższe, pisze o ucisku małorolnych i bezrolnych chłopów przez bogaczy, o gnębiącej biedniaków ciemnocie, o życiu i walce chłopa litewskiego w okresie 1930 — 39 r.

Rukienie to typ chłopki-bogaczki, która jest gotowa na wszystko, byleby tylko zdobyć jeszcze jeden kawałek ziemi. Chciwość pokrywa miłością do dzieci, nie rozumiejąc, że postępowanie jej jest sprzeczne ze słowami. Pusta, bezmyślna Ona i Jonas, który kochając Marytie nie potrafią się jednak przeciwstawić wpływowi matki, są jej nieodrodnymi dziećmi. Typy biedniaków wiejskich: Anieliukie i Łabutisa, to typy ludzi jeszcze nieuświadomionych. Życie przez wiele lat pod uciskiem bogaczy odbiło na nich swoje piętno. Ale są młodzi, wiedzą czego chcą, dla nich ważniejszą od własności jest wolność. Taką postacią w sztuce jest Marytie, ona Jonasa. Marytie widzi wszystko, co się dzieje w domu teściowej i wierzy, że będzie mogła miłością zmienić Jonasa, gdyż co do Rukienie złudzeń już nie ma, więc czeka. Ale kiedy widzi, że ani cierpliwością, ani dobrocią nic zrobić nie będzie mogła, stawia wszystko na jedną kartę, ratuje Łabutisa, rzuca męża i dom Rukienie i odchodzi mówiąc: „Dużo jest jeszcze Łabutisów w waszych rękach, ale i nas jest dużo!"

Twórczość Bałtuszisa płynie głównym nurtem tradycji litewskiej. Wieś litewska, jej walka o wyzwolenie chłopstwa, jest główną drogą rozwojową twórczości literackiej Litwy od 150 lat. Literatura na Litwie jest wierną kroniką rozwoju świadomości klasowej chłopa litewskiego. Wiele pokoleń litewskich pisarzy wyrosło na tej literaturze, literaturze często nie drukowanej, ale po prostu opowiadanej przez całe lata, w okresie kiedy drukowanie jakichkolwiek książek w języku litewskim było przez rząd carski surowo zabronione. Józef Bałtuszis idzie konsekwentnie tą samą drogą, czego przykładem są i jego nowele i sztuka „Pieją koguty".

A. L. G.

AKT DRUGI

Izba. Na stole i ławach stoi pełno naczyń, dzbanów oraz przygotowane jedzenie. Z sąsiedniej izby dochodzi gwar rozmowy, gra wiejska orkiestra.

ANIELIUKIE (pracując przy stole) — Ot i wesele. Antanukas, wytrzyj nos. Mężczyzna, a płacze. Kiedykolwiek i ty się ożenisz. No jak, ożenisz się?

ANTANUKAS (pociągając nosem) — Kiedy ja... narzeczonej jeszcze nie mam...

ANIELIUKIE (uśmiechając się) — Wyrośniesz, to i narzeczona się znajdzie. A jadłeś dziś?

ANTANUKAS — Nikt mi nie dał.

ANIELIUKIE — E, jaki ty! Kto ci ma dawać, kiedy wszyscy naokoło jedzą? Samemu trzeba wziąć. Siadaj, masz. Weź tę kość i gryź... Odłam sobie chleba...

ANTANUKAS (siadając i zabierając się do jedzenia) — A jak ciocia zobaczy?

ANIELIUKIE — Jedz, jedz. Nim wszystkim ciotkom dogodzisz, to ze skóry wylezisz. Później pójdziesz, przyniesiesz drzewa, trzeba będzie piec rozpalić...

(wchodzi Rukienie, blada, z szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczyma i staje przy drzwiach).

Boże... Co się stało?

(podbiega do Rukienie)

Co się stało?

(Rukienie nieprzytomnie patrzy przed siebie, chwieje się. Anieliukie podtrzymuje ją, zmieszana podprowadza do ławy)

Panie Święty... Matko Boska... Co... Co się stało?

RUKIENIE (bezwiednie siada, trzęsie się całym ciałem, dzwoni zębami. Nagle chwyta się za głowę) — O Boże, Boże, Boże! O Jezu!

ANIELIUKIE (ostatecznie zmieszana) — No co? Co? Zwariowała chyba! Antanukas, biegnij prędko, przynieś wody, tylko zimnej...

(do Rukienie)

Zaraz... Zaraz... Walerianki wam naleję.

RUKIENIE — Biedę całego życia... niedojadanie...

ANIELIUKIE — Panie Boże! Ani chyba ukradli coś? Co?

RUKIENIE — Do ostatniego... do ostatniego centa... do ostatniej koszuli!

ANIELIUKIE — Pieniądze?

RUKIENIE (odtrąca przyniesioną przez Antanukasa wodę) — Oj, nie pytaj, nie pytaj! Zaniosłam te położyć, a tam... O, Jezu, Jezu...

ANIELIUKIE (zmieszana, rozgląda się po izbie, widzi w drzwiach zwabionych głośną rozmową tłoczących się gości) — A to co? Po co wy tu? Idźcie... Idźcie stąd... idźcie pić piwo! (zamyka drzwi) Ot, wam kumo i zapusty. A dużo tam było tych pieniędzy?

RUKIENIE — Choć ty mnie nie męcz! (zrywa się) Czego stoisz? Zawróć ich! Nie będzie wesela! Nic nie będzie! Prędko! Powiłas! Ona! Jonas!

ANIELIUKIE — Szaleju się, nie daj Boże, objedliście, gospodyni, czy co? Od ślubu zawrócić?

RUKIENIE (z siłą) — Wszyscy z powrotem!

ANIELIUKIE (wybiega, zza drzwi słychać niewyraźnie, jak coś głośno mówi, potem wraca) — Już, już, Jokimas siądzie na swego konia i zawróci ich... Może jeszcze nie pojechali, może są u Błażysów... Uspokójcie się... Nie trzeba było tego robić... (Rukienie znowu opuszcza się na ławę i zakrywa twarz). Nie trzeba... Wypijcie wody... Wszystkich na nogi postawiliście, a to może, nie daj Boże... kto z gości! Trzeba było cicho... do policji dać znać. Teraz sama karty zmieszałaś!

RUKIENIE (podnosi głowę) — Jakie karty? (nagle) — Zawołaj zaraz do mnie! Najstarszą!...

ANIELIUKIE — Co? (patrzy na Rukienie, domyśla się) — Co wy gospodyni... cygankę chcecie wołać?

RUKIENIE — Powiedziano ci, to idź! Całe życie mnie będziesz uczyć!

ANIELIUKIE — Jak chcecie... Tylko chyba, szaleju najedliście się (wychodzi).

RUKIENIE — Idź, gdzie ci kazano, i nie gadaj! (zaczyna chodzić jak nieprzytomna po izbie, nic nie widząc) — Składałam, wyciskałam i... Kto wywąchał? Kto znalazł? Sama zamykałam, klucze chowałam pod głowę... Matko Boska!..

ANIELIUKIE (wchodzi i mówi do sionki) — Jak mówiłam, że wołała, to znaczy, że wołała. Kłamać będę, czy co?

CYGANKA — Oj, paniusiu, oj gosposiu, czy naprawdę wołaliście mnie, biedną cygankę?

RUKIENIE (ostro) — Karty masz?

CYGANKA — Cyganka bez kart, to cyganka bez oczu, gosposiu. Karta mówi, całą prawdę powiada... Jaką prawdę chcesz się dowiedzieć? Co było, powiem, co będzie, powiem...

ANIELIUKIE — I czego nie ma i nie było, wymyślisz.

RUKIENIE (niecierpliwie) — Kto... skradł... pieniądze?

CYGANKA — Pieniądze wszyscy kradną, paniusiu, a kto wasze wziął, karta powie, całą prawdę pokaże... (rozkłada karty).

RUKIENIE (patrząc na karty) — No?

CYGANKA (rozkładając) — Dużo kłopotów masz, paniusiu, z rządowym domem masz kłopoty... wielkie kłopoty...

RUKIENIE — Co ty o rządowym domu gadasz? Gdzie pieniądze?

CYGANKA (zbiera karty, tasuje) — Przełóżcie swoją ręką, gosposiu... Karta wszystko powie (znowu rozkłada).

ANIELIUKIE (znowu robiąc coś z Antanukasem) — I, diabła ona tam powie. Karty rozkłada, a sama na szynkę patrzy.

RUKIENIE — No?

CYGANKA (rozkładając) — Tu dama pikowa... to ty, paniusiu. O was myśli, o tu, walet kier... A tu i dama karo przy was i król trefl. Karta całą prawę mówi. I pieniądze niedaleko...

RUKIENIE (drgnęła) — Gdzie?

CYGANKA (znowu zbiera karty i tasuje) — Jeszcze raz przełóż, paniusiu i karta pieniądze pokaże... (rozkłada) — Znowu ten walet kier! Och, myśli on o was i dzionkiem i nocką myśli... A tu znowu król tref... Tak... tak...

RUKIENIE — No? No?

CYGANKA — I znowu dama pikowa... (rozkłada) Oj!

RUKIENIE (powstrzymuje oddech) — No?

CYGANKA — Karta mówi, że pieniądze... wziął walet kier... pieniądze...

RUKIENIE (nagłym ruchem nachylając się nad kartami) — Gdzie?

CYGANKA (nie podnosząc głowy) — Od waleta kier, paniusiu pieniądze trafiły do damy karo... Tak... Dama karo dała je królowi trefl... (milknie).

RUKIENIE — A król trefl?

CYGANKA — Nie ja mówię, karta mówi... Król trefl oddał pieniądze damie pik...

RUKIENIE (patrzy osłupiała) — Damie pik? Przecież dama pik to ja?

CYGANKA — Karty tak pokazują, paniusiu!

RUKIENIE (z wściekłością) — To ty taka! Drwisz z mojego nieszczęścia!?

ANIELIUKIE — A nie mówiłam?

RUKIENIE — Won stąd! Wszyscy won! I z podwórza won! Żeby waszego śladu tu zaraz nie było! Gdzie Jonas! Gdzie Ona! Koniec świata! (Cyganka zwinnie wybiega na podwórze).

ANIELIUKIE — Znajdzie się i Jonas. Nie martwcie się. Mówiłam — nie zadawać się z nimi. Zęby tylko zagaduje, nic więcej (idzie w stronę drzwi).

RUKIENIE — Poczekaj! Czego ty ode mnie uciekasz, jak od zarazy? (zamyśla się). Kto to może być walet kier?

ANIELIUKIE — Ale że też wy, Rukienie!... Słuchacie tej cyganki! Czy wy nie wiecie? Z dziada pradziada cyganie głodni chodzą, a my sami nauczyliśmy ich szczekaniem na chleb zarabiać, to i mielą językami, żeby żarcia dostać. Dojdziesz tu do ładu z ich gawędami!

RUKIENIE (nie słucha) — Czekaj... Wszystko zaczyna się od waleta? Dama pik — to ja... Dama karo... król trefl... Ale kto walet?

ANIELIUKIE — Ona znowu swoje.

RUKIENIE (powoli chodzi po izbie, zamyślona i coś mruczy pod nosem. Jej wzrok zatrzymuje się na Antanukasie. Przygląda się mu przez chwilę, potem nagle chwyta za ramię) — Ty! Ty! Czerwony diable! Ty wziąłeś pieniądze! (trzęsie nim). Kto cię nauczył! Jak wybrałeś! Dokąd zaniosłeś?

ANIELIUKIE (blednąc) — Rukienie... Rukienie!... Czy wy jeszcze macie rozum?

RUKIENIE — Żebra ci połamię! Ty złodzieju! Rudzielcze, ty przeklęty! Gdzie pieniądze?!

ANIELIUKIE (starając się obronić Antanukasa) — Zupełnie zwariowała! Rukienie! Co się z wami dzieje!... On przecież nawet nie wie, jak wyglądają pieniądze.

RUKIENIE — Ja mu pokażę. — Nie wie! Ja mu!... Za co ojciec wczoraj słoninę na rynku kupował?... A skąd u matki nowa chustka? Czyje pieniądze? A? Kiedy zaniosłeś ojcu? Mów albo ci tu zaraz!...

ANTANUKAS (łapiąc oddech) — Ciotko... Ciotko....

RUKIENIE — Ja ci pokażę ciotkę! Klękaj! Jak księdzu... jak Panu Bogu, mów! No!...

ANIELIUKIE (nie mogąc obronić) — Rukienie! Boże, przecież ona zabije to dziecko... (chce wybiec, ale w drzwiach zderza się z Jonasem).

JONAS (wchodzi, z niepokojem) — Co tu za piekło? (Marytie wchodzi za Jonasem, staje przy drzwiach, patrząc niespokojnie, przerażonymi oczyma).

RUKIENIE — Ty jeszcze pytasz! Złodzieje! Rozbójnicy! Całą moją starość!... Ostatni grosz ukradli!

JONAS (wzdryga się) — Kto ukradł?

RUKIENIE (popycha Antanukasa w stronę Jonasa) — Ot! Ciesz się!... Walet kier! Odrazu zrozumiałem? (do Anielukie). A i ty dobra! Niewinna! Może sama się z nim dzieliłaś...

ANTANUKAS — Ja nie brałem... nie brałem!...

RUKIENIE (do Jonasa) — Czego jeszcze stoisz? Bierz go za kark, zaprowadź za stodołę i daj mu dobrze, żeby odrazu krew się pokazała. Odrazu się przyzna!

JONAS (waha się, ponuro) — A może nie on...

RUKIENIE — Nie on! Ty mi tu będziesz gadać! Służba w domu — to wróg w domu! Wszystkie kąty wyszperał, wczoraj na strych łaził, wąchał! A po co? (Jonas milczy ponuro).

ANIELIUKIE — Bójcie się Boga, ludzie! Czy wszyscy rozum straciliście? (wybiega).

RUKIENIE (do Jonasa) — Jeszcze ciebie trzeba będzie prosić?!

MARYTIE (widząc ruch Jonasa) — Jonas! Jonas porusza się i zatrzymuje).

RUKIENIE — No, co!?

MARYTIE — On nie brał... On niewinny...

RUKIENIE — Ach, tak! To kto? Wy? Ty? Jonas?... (Jonas nagłym ruchem rzuca się w stronę Antanukasa, ten zaczyna krzyczeć i wybiega, Jonas za nim).

MARYTIE (przerażona) — Jonas!

RUKIENIE — Daj, mu, daj, żeby wiedział! (Marytie chce biec do drzwi, chwieje się i pada).

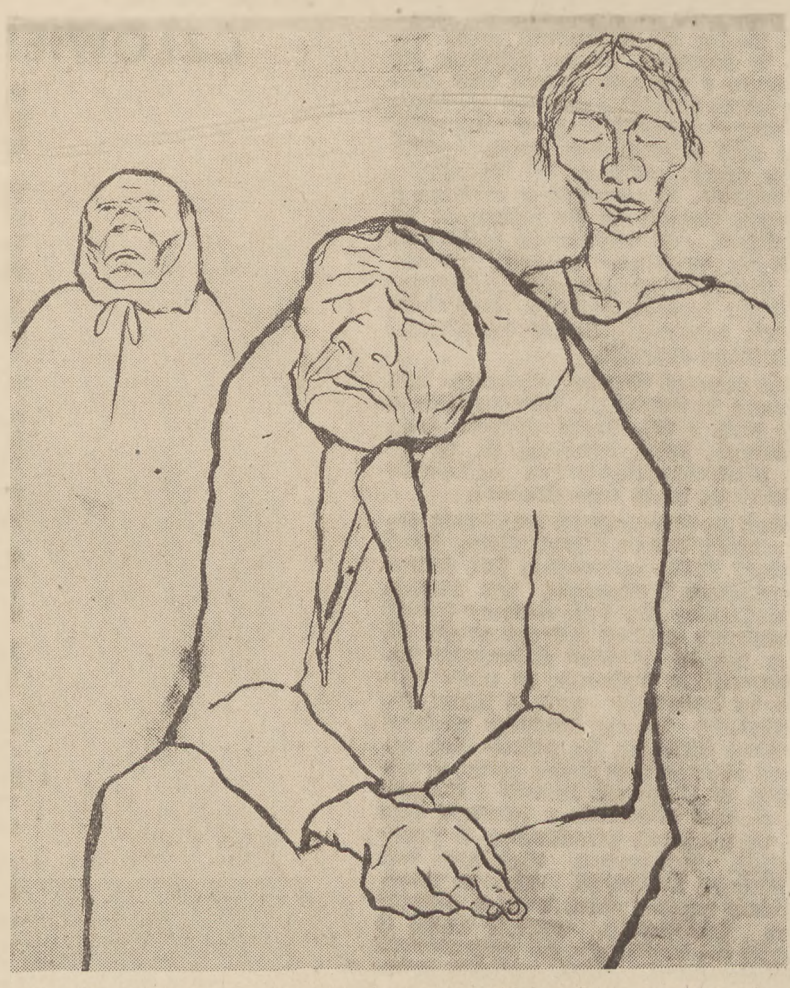

Rys. H. Orzechowska

*) Dramat Bałtuszisa „Pieją koguty" w tłumaczeniu Anny L. Gniadowskiej ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa „Współpraca".

Semen Łabajewski

Tłum. Tadeusz Chróścielewski

Jak Prochor zostaje elektrykiem

(Fragmenty z powieści „Kawaler złotej gwiazdy")

Zima przyszła dość wcześnie. Zawędrowała do stanicy w ciepłej, białej szubie.

O świcie przez Ust-Niewińską cicho i niespostrzeżenie przeszła kolumna sań. Wyjechawszy na stanicę, pomknęły sznurem w step. Przyszło jechać po głębokim, puszystym śniegu. Torowały drogę nowe, [illegible]kenne sanki, a na nich, zagrzebawszy nogi w sanie, siedział Prokop w szubie i baszłyku tak szczelnie zawiązanym, że widać mu było jedynie oczy. Od czasu do czasu podnosił się na kolana, poganiał konie, to znów oglądał się w tył: bał się, by jakiś zaprzęg nie pozostał w tyle lub by który z woźniców nie zasnął. W saniach, okrywszy się burką leżał Wiktor Griaczow.

— Hej, tam — pokrzykiwał Prochor — Nie rozciągajcie się tak.

W ślad za saniami Prochora, skrzypiąc jarzmami brnęło po miałkim śniegu pięć par wołów. Siedzieli na nich chłopcy-poganiacze. Woły zaprzężone były rzędem do olbrzymich sań o płozach grubych jak kłody. Na takich saniach przewozi się zwykle na wyżynach Kubania stogi siana. Dziś potężne płozy z sękatego dębu miały wytrzymać bagaż kilkakrotnie cięższy: musiały przewieźć ze stacji kadłub turbiny wodnej.

— Jakiż to ciężar może mieć takie dziwo?— rozmyślał Prochor, okręciwszy się w szubę.— I pomyśleć, że tę tylko jedną część umieści się na tej potworze, a żeby przewieźć całą turbinę, trzeba było ściągnąć tyle koni i byków.

W ciągu życia przychodziło Prochorowi przewozić przeróżne ciężary: kłody, żelazo, pszenicę, ale z turbiną nigdy jeszcze nie miał do czynienia.

Jak to wygląda taka turbina, pojęcia nie miał, przeto rodziły się w głowie przeróżne trwożne myśli: „A co będzie, jeśli nawet takie dębowe płozy nie wytrzymają ciężaru i sanie załamią się, a turbina pozostanie gdzieś w stepie, będzie się walała przy drodze w śniegu i ludzie, przejeżdżający obok będą się śmiali: „patrzcie jacy to ci ustniewińcy, budują elektrownię wodną, maszyny to zamawiają aż na Uralu, a do stanicy przywieźć nie potrafią, sprytu im nie starczyło... a nasz Wiktor Ignatowicz to śpi sobie smacznie — rozmyślał Prochor — i dlaczego właściwie miałby nie spać? Toć on już i gniazdko dla niej przygotował, zupełnie jak dla kobiety, jej Bohu!

Prochor, pracując w brygadzie Wiktora Griaczowa, wszystkiemu silnie się przypatrywał, ale nie wiele z tego rozumiał, szczególnie zaś nie mógł pojąć, co to wyrabiają na terenie hali maszyn. Widział, jak wznosiła się z wykopu żelbetonowa ściana, lecz choć Griaczow mówił, że to ma być fundament turbiny, Prochor w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić ani kształtu, ani wielkości tej dziwnej machiny, której sądzone było spocząć na tym twardym łożu.

Nad stepem rozgorzała jasna, mroźna zorza. Niebo było wysokie i zupełnie sine. Wiktor Griaczow oddawna już nie spał, nie chciało mu się jednak podnieść. Sanie sunęły rytmicznie, głucho postukiwały kopyta, młodo i świeżo skrzypiał pod płozami mróz. Przyjemnie było leżeć i wodzić oczyma po horyzoncie. Za Kubaniem jak białe namioty wznosiły się niewielkie wzgórza, raz wydawały się dymno-szare, to znów pokrywały się miękkim różowym światłem. Kiedy zaś na siodło, jakie stanowiła przestrzeń między dwoma szczytami, wspięło się słońce, góry zajęły się płomieniem i cała nizina zaiskrzyła się do tego stopnia, że trudno było patrzeć bez zmrużenia oczu.

Wiktor zamyślił się. Nie, zupełnie nie tak wyobrażał sobie swoje życie po długich latach studiów. Naturalnie do Ust-Niewińskiej wpadał nieraz na odpoczynek. Były to wesołe miesiące. Kąpał się w Kubaniu, jeździł po stepie i ani mu przez myśl nie przeszło, że pierwszym terenem jego samodzielnej pracy będzie właśnie rodzinna wieś. Do Ust-Niewińskiej jechał niechętnie i — jak sam podkreślał — „na krótko", lecz już od pierwszych dni zaczął odczuwać dziwną satysfakcję, gdy sobie uświadamiał, że oto kierownictwo rodzinnego Kubania nie może obejść się bez jego pomocy, że oto on — jedyny spośród ziomków potrafi ustawić i zmontować najbardziej skomplikowane mechanizmy, że to on da swojej wsi światło. Cieszyła go myśl, że turbinę zakłada właśnie na tej samej rzece, nad którą przebiegało jego dzieciństwo, na której łowił ryby, kąpał się, biegał na golasa po brzegu. Ileż to wspomnień cisnęło się za każdym razem, gdy zbliżał się do miejsca budowy w pobliżu urwiska.

Przyjemnie było również obserwować, jak oto budzi się w stanicy w związku z budową żywe zainteresowanie elektrotechniką. Widział, z jaką dumą mówią o elektryfikacji towarzysze jego dzieciństwa i rozumiał ich. Nie tyle cieszył Wiktora entuzjazm Sergiusza czy Sawy, co stosunek do nowej pracy takich ludzi jak Prochor i Gricko, tych, którzy pracowali w jego brygadzie.

Prochor mieszkał w sąsiedztwie matki Griaczowa. Pewnego razu, przechodząc późnym wieczorem obok chaty Prochora, spojrzał mimochodem w okno. W izbie przy słabym świetle lampy naftowej siedzieli niemłodzi już mężczyźni i kobiety i czytali na głos „Systemy instalacji silnikowych". Wiktor wszedł do sieni, zatrzymał się w drzwiach i zaczął się przysłuchiwać:

— Prochor, wyłóż ty to nam trochę jaśniej!

— Jakże ja mogę jaśniej wyłożyć? — odpowiada Prochor. — Toż w książce pisze, że elekstryka bywa stała i zmienna. Co tu można jeszcze dodać?

— A jaka będzie u nas?

— Kto go tam wie, jaka?

— A w jaki to sposób będzie ona obracać młockarnię, czy dość krowy? — dopytywał się jakiś zachrypnięty bas. — To właśnie grunt, a czy ona tam stała czy zmienna, na tym ja się nie znam.

— Wszystko jedno — potwierdził ktoś z przekonaniem — grunt, żeby była.

— A na mój rozum — odezwał się głos kobiecy — lepiej, żeby była stała.

— Dlaczego? — surowo spytał Prokop.

— Bo wszystko, co niestałe — to kiepskie.

— Racja, ciociu Fioklo — przytwierdził bas. — Zrobili u nas na ten przykład latoś kino ruchome i co z tego wyszło? — nic.

— A toś, Andrzeju, dobrze powiedział.

Wiktor roześmiał się i wszedł do izby.

— O! — krzyknął Prochor. — On nam pomoże. Wiktorze Ignatowiczu, my tu czytamy i nie możemy się na niej wyznać.

...I teraz, Wiktor leżąc w saniach i przytrzymując burkę, wspominał z uśmiechem tamtą rozmowę, która się przeciągnęła późno w noc. Tego wieczoru po raz pierwszy tak prosto, tak mu się przynajmniej wydawało, i interesująco mówił o elektryczności

Odrzucił burkę, zeskoczył w śnieg i szedł teraz obok sań.

— A ja myślałem, że ty jeszcze śpisz — ucieszył się Prochor.

— Wiktorze Ignatowiczu — krzyczał z drugich sań Nikita Malcew — spójrz, co za widok.

Czoło obozu wypełzło już na wzgórek, tułów wyginał się wzdłuż parowu. Wyrostki— poganiacze — jedni w kudłatych czapkach, które wysterczały w górę niby gniazda ptasie, inni w baszłykach lub w powiązanych chustkami kaszkietach kołysali się na jarzmach i leniwie pomachiwali biczami. Pięć par byków szło szparko, za nimi sunęły ciężkie płozy i orały śnieg na kształt pługów. Nikita Malcew dumnie siedział na rozesłanej na sianie derce, palił tytoń i uśmiechał się.

— Tak, przy takim transporcie — rzekł, zwracając się do Wiktora — można niejedną, lecz dwie turbiny przywieźć.

Tymczasem tabor przejechał przez most, okrążył Roszczańską stanicę i zatrzymał się u bramy dworca towarowego.

Wiktor udał się z dokumentami do zawiadowcy. Woźnice, oczekując na jego powrót, z nieukrywaną ciekawością przyglądali się częściom maszyn, złożonym na czterech platformach. Szczególnie intrygowały ich olbrzymie skrzynie, obite żelaznymi obręczami. Widniały na nich wielkie, tłuste napisy: „Uralskie Zakłady Elektrotechniczne". Dalej jakieś przedziwne machiny i wreszcie coś, co robiło wrażenie ogromnego koliska. To coś obite było ułożonymi na krzyż deskami, spod których wystawał gruby wał, osmarowany żółtą maścią podobną do śliwkowego masła. Prochora najbardziej zainteresował kadłub żeliwnego cielska w kształcie potężnego kubła.

— Musi być przeraźliwie ciężki — Prochor ostukał z respektem żeliwo batem.

— Patrzcie no, jaki olbrzym. Nikito, jak ty myślisz, pięć par byków uciągnie to?

— Jeśli przyjąć, że na każdą parę wypadnie po sto pudów — rzekł, jak zwykle poważnie, muskając siwe wąsy, Nikita — to prawdę rzekłszy, uradzimy.

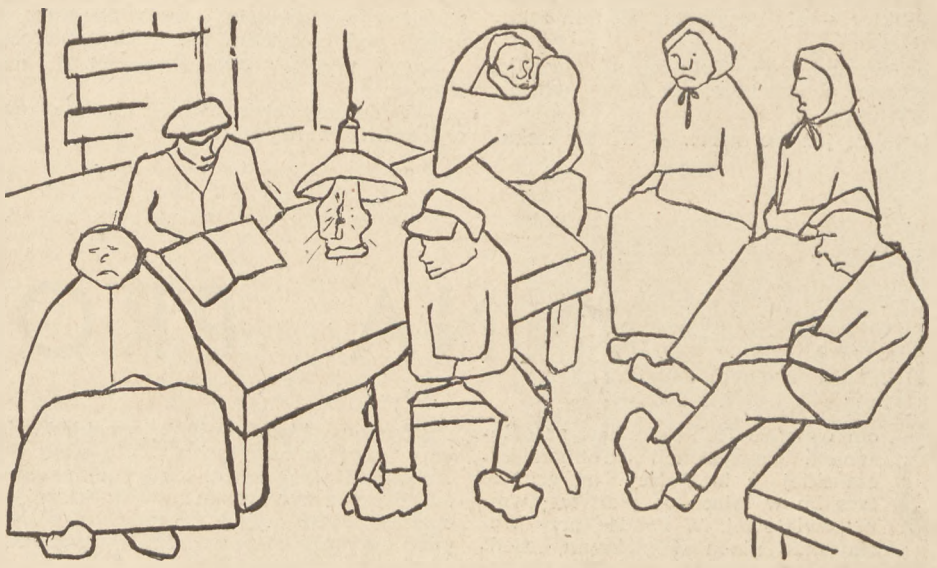

Rys. H. Orzechowska

— A co to takiego? I to też woda będzie kręcić? — spytał jakiś wyrostek, wskazując biczem na generator.

— Patrz no, Wańka, ile tu na niej drutu miedzianego.

— To nie drut, to pewnie złoto.

— Patrzcie go, jakie cudo! Jak to wszystko urządzone. Toż i pająk lepiej by pajęczyny nie osnuł.

— To się nazywa generator — rzekła Irena, zwracając się do wyrostka. — Rozumiesz chłopcze? To najważniejsza maszyna. Turbina będzie go obracać ze wszystkich sił i właśnie wewnątrz wytworzy się elektryczność.

— Ireno, skąd ty to wszystko wiesz? — zdziwił się Prochor.

— A wiem — rzekła zadowolona z siebie— w szkole nas uczyli.

— — — — — — — — —

Prochor nie myślał nawet, że przeładunek zacznie się tak prosto i zwyczajnie. Wiktor nadszedł z dwoma kolejarzami. Woźnice zawrócili do sań. Nie zdążyli nawet wjechać na peron, gdy zjawił się parowóz i przytaszczył dźwig stacyjny. Łapa dźwigu podjęła lekko kadłub generatora, ten sam o którym rozmyślania nie dawały Prochorowi spokoju przez całą drogę, dźwig przeniósł go przez powietrze lekko, jakby chciał zademonstrować swą siłę i dzwoniąc naciągniętymi jak struny linami, ostrożnie złożył ładunek na największe sanie. Dębowe płozy zaskrzypiały i ugięły się nieco. Gdy ładunek został już przywiązany drutami do sań, poganiacze na komendę Prochora ujęli krótko lejce i jednocześnie machnęli batami. Ktoś zaświstał, a Prochor biegając wokoło sań krzyczał z całej mocy:

— Hej, hej, cap, cap!

Rząd byków naparł na jarzma, łańcuch naprężył się, lecz płozy jakby przymarzły do ziemi. Byki naprężyły się, wygięły kościste grzbiety i ślizgając się niepodkutymi kopytami po śniegu, znowu naparły na jarzma. Sanie nie drgnęły jednak z miejsca.

Podbiegli woźnice, oparli się plecami o żeliwo i zawrzasnęli razem, zadudnili i zaświstali: bu - re - go, bu - re - go, wal go, goń go, goń go!

Sanie zapiszczały ciężko, jakby wzdychały i zwolna posunęły się naprzód.

— A u kogo tam najsilniejsze podwozia — pytał Wiktor — Prochorze, bierz mocne sanie i podjeżdżaj. Położymy na nich rotor i przewody...

Ładowanie przeciągnęło się do późnego popołudnia, a nim umocowali bagaż zwojami drutu, nim ugotowali obiad, nakarmili byki i konie, zaczęło się porządnie zmierzchać. Wyruszono z powrotem. Za Roszczeńską ukazał się biały, lśniący księżyc.

Od dawna już zapadły się gdzieś w dali światła stacyjne i pogrążające się we śnie Roszczeńska i most na Kubaniu. Przed nimi zaś w poświacie księżycowej rozciągał się pokryty pagórkami step, tak szeroki, że transport wydawał się jedynie czarnym szwem na śniegu. Szew ten nie tkwił na jednym miejscu, lecz sunął i sunął naprzód i na przestrzeni szeregu kilometrów naokoło słychać było to dźwięczny chrzęst zamarzniętego śniegu pod płozami sunących wozów, to różnogłose nawoływania, to świst bicza, to pieśń, którą ni z tego, ni z owego rozpoczął grubym basem Prochor, to dźwięczny śmiech Ireny. Równoległe bokiem traktu posuwał się długi cień. Sanie z maszynami, kudłate głowy powożących, konie, rogi bycze — wszystko to rysowało się na śniegu wyraziście, rzekłbyś jak na płótnie malarskim.

Spojrzeć na ten rozciągnięty sznur sań, wsłuchać się w odgłosy nocy — i w duszy rodzi się jakieś czarowne uczucie, które wyrazić może chyba jedynie pieśń. Skąd ono? Zdawać by się mogło, że nie ma w tym wydarzeniu nic tak bardzo szczególnego.

Toż przecież ogólnie wiadomo, że od niepamiętnych czasów przebiega między wierzchołkami Kubania szeroki trakt, że ciągnie się obok stanic i chutorów i że od dawna suną po nim sznury wozów i sań. Kto tam nie handlował w tych stronach, któż nie wiózł tędy w kierunku gór soli i pszenicy, a zaś od gór — drwa, dziegciu, sierści, skór owczych i węgla drzewnego? Toż widziały pagórki Kubania nie takie już sznury zaprzęgów i nie taki szum płóz i kół słyszały. Tylko że nikt dotąd nie widział i nie pamięta, żeby kto wiózł tędy, po tym trakcie turbinę wodną i to jaką turbinę!

Toteż mijane wozy ustępują z drogi, zjeżdżają w śnieg, a woźnice spoglądają ze zdziwieniem i pytają się:

— Ludzie dobrzy, a co to wy za cudactwa wieziecie? Za wszystkich odpowiadał Prochor, siedząc zuchowato na skrzyni odkrzykiwał z pozorną niedbałością:

— Co wieziemy? A nie widzicie? — Maszyny idą.

— A gdzie one idą?

— A gdzie mogą iść, jak nie do Ust-Niewińskiej.

— A z daleka to?

— Ho, ho, ho — odpowiadał śpiewnie Prochor — aż z Uralu.

— Patrzcie no! A jakie to to maszyny, że to idą do nas aż z samego Uralu?

— Też ci wyrwał się z pytaniem! — mówi Prochor, udając, że się rozeźlił, w istocie pragnąłby, aby pytania ciągnęły się w nieskończoność.

— Chcesz ty wiedzieć, co to za maszyny? To te maszyny co światło dają. Ot, jakie ci to maszyny.

Transport zaś ciągnął dalej skrzypiąc po śniegu.

* * *

Na budowie elektrowni panował nieopisany gwar. Przed chwilą wstawiono na fundament kadłub turbiny. Krzątali się jeszcze

Zygmunt Krogulski

RĘCE BRATA

Mój brat rano o świcie
wyorał słońce,
gdy kradło barwę ze skrzydeł motyla
i w rosie srebrnej tkwiło
malejące,
zanurzone w głąb młodych bylin.

Ręce złożone na pługu,
ręce prostackie,
ręce szczerozłote —
te same, które wczoraj wieczorem mięły protokół
na zebraniu w spółdzielni — a potem
przybite do snu nocy cieniem
jak liść powietrza dotknęły włosów żony
i zrównały się z jej ramieniem.

Teraz brat rozpostarty nad pługiem
cień swój kładzie bezszelestnie na skibach
do których przywarł oczami,
a dłonie jego milcząco grały
chwałę na cepigach:

Słońcu,
które spiło zardzewiałą krew z ziemi — chwała!
Chwała wiatrom,
że rozżarzoną stal chłodzą
w narzędzia dalekie od zbrodni —
i oczom,
co pokojem patrzą — chwała!

przy niej podnieceni i rozradowani monterzy. Wiktor Griaczow w czapce zsuniętej niedbale na tył głowy, w nowym, chociaż zapaćkanym już na łokciach i na kolanach kombinezonie, wytarł czarne od smaru ręce i podszedł do Sergiusza, uśmiechnięty i zadowolony z siebie.

— Popatrz, Sierioża, co za cudo!

— Rzeczywiście, cudo.

— W samej rzeczy bardzo zgrabnie leży— zawyrokował Prochor tonem znawcy. — Ja ci mówię, tak leży, jakby specjalnie była na ten placyk obstalowana.

— A tu właśnie stanie generator — mówił dalej Wiktor — ale Sergiuszu, jak tam z kanałem?

— Zaczynamy jutro. Tylu ich się zjechało, że zaczynam obawiać się, czy to wy właśnie nie zostaniecie w tyle.

— O to się już nie martw — Wiktor wskazał na nagie więzary — to mnie tylko martwi, pracujemy pod śniegiem.

— Oczekujemy lada dzień blachy dachowej.

— Chodź, pójdziemy, zagrzejemy się — rzekł Wiktor — nie wypada przecież trzymać gościa na chłodzie.

Przeszli do składu narzędzi. Nieduża przybudówka, kryta prowizorycznie sitowiem. Ogrzewał ją żelazny piecyk. Było duszno i pełno dymu. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie leżały klucze, przewodniki miedziane, skrawki kabli, sztabki aluminium, szklane i porcelanowe izolatory.

— Wiktorze, chcę mówić z tobą o nieco poważniejszej sprawie — rzekł Sergiusz, gdy usiedli pod piecykiem i zapalili papierosa.

— Cóż takiego? — nachmurzył się nagle Wiktor.

— Budujemy elektrownię, ale nie mamy wykwalifikowanej obsługi.

— Ach, o to ci chodzi — Wiktor zdjął czapkę, przygładził palcami zroszone potem włosy. — Tak, to jest rzeczywiście problem.

— Pomóż mi w tym, Wiciu. Rejonowy kurs elektryków spalił na panewce. Instruktor Komitetu Elektryfikacji Wsi obiecał przyjechać i nie zjawił się, więc przychodzę do ciebie z prośbą.

— Czy dużo kursantów?

— Trzydziestu. Po jednym z każdego kołchozu.

— Toż nie mogę jeździć do nich na rejon, przecież nie rzucę swojej roboty.

— Przeniósłbym kurs do Ust-Niewińskiej. Zajęcia prowadziłbyś wieczorami.

Wiktor uśmiechnął się pogodnie. Widać było, że się zgadza.

Do narzędziowni wszedł z ogromnym metrowym kluczem Prochor.

— Czy wewnętrzne mutry już zakręcać, czy czekać? — zapytał i na chwilę przysiadł pod piecem, by ogrzać ręce.

— Sergiuszu Timofiejewiczu — rzekł po chwili, spojrzawszy na przewodniczącego bystrymi, maleńkimi oczkami. — Ja teraz już chyba wszystko umiem robić: byłem i pastuchem, i polowym, i cieślą, i szewcem. Był czas, że i piece stawiałem, lecz na stare lata chciałbym zostać elektrotechnikiem — widząc zaś, że Sergiusz uśmiecha się dobrotliwie i przyzwalająco, zwrócił się do Wiktora: — Powiedzcie mi, Wiktorze Ignatowiczu, czy byłby tu ze mnie jaki pożytek?

— A dlaczegóżby nie?

— Tak, Prochora również trzeba przyjąć na kurs.

— W teorii to ja co prawda jestem jeszcze niewielki majster, ale gdy idzie o praktykę, to oho - ho.

Wiktor i Sergiusz roześmieli się.

Semen Babajewski
Przełożył T. Chróścielewski

Jerzy Miller

ANNA PROLETARIUSZKA*)

Dom państwa Rubeszów jest przedłużeniem egzystencji drobnomieszczańskiej à la Dulscy na gruncie czeskim w latach po pierwszej wojnie światowej. W Pradze przy Wacławskim placu w pięknym, siedmiopokojowym mieszkaniu, pośród zamożnych ludzi poznajemy Annę, młodą i naiwną wiejską dziewczynę. Początkowo też nie opuszczamy wnętrza mieszkania kolejno zaznajamiając się z jego mieszkańcami. Rodzina Rubeszów jest podobna i pozostaje podobna do wielu rodzin znanych nam z rodzimych sztuk Zapolskiej. Młodzi Rubesze są pozbawieni jakichkolwiek wytycznych w życiu, wychowani laicko, rozrzutni i zdegenerowani bardziej niż postacie klasycznych drobnomieszczan przełomu dziewiętnastego wieku.

Ulice obok pałacu czernińskiego w Pradze wyglądają jak przed wiekami

Powieść Olbrachta w swej początkowej fazie zapowiada opis dziejów służącej, zapowiada temat, który w okresie przed pierwszą wojną światową zrobił karierę. Lubowali się nim tacy pisarze jak Maupassant, Zola, Larsen, Hamsun.

Jednakże Anna nie przystaje do postaci znanych nam z powieści wymienionych autorów. Nie zachodzi w ciążę z paniczem. Potrafi zachować niezależność i po pewnym czasie wydobywa się z groteskowego kręgu służących kształconych na lekturze o Kisie i Landru. Oczywiście nie awansuje stając się guwernantką czy wreszcie panią do towarzystwa, lecz w ogóle opuszcza służbę. Zyskuje krytyczne spojrzenie na światek Rubeszów. Rodzi się w niej świadomość klasowa. Dopomaga jej w tym rozwój stosunków społecznych i gospodarczych w Czechach. Olbracht w dalszym ciągu pokazuje nam wir wydarzeń przed rewolucją grudniową w Pradze, gdy to liberałowie sięgnęli po władzę. Czechy, kraj wysoko rozwiniętego kapitalizmu, posiadały silny proletariat, świadomy swej siły. Odejście Anny ze służby nie było na pewno odosobnionym odejściem, przypadkowym. Zwrot co prawda nastąpił po zapoznaniu się z robotnikiem dużej metalowej fabryki. I dopiero przy jego pomocy, uczestnicząc na zebraniach i wiecach robotniczych Anna uświadamia sobie problemy walki klasowej.

*) Ivan Olbracht „Anna Proletariuszka" „Książka" 1948.

Stopniowo świadomość jej przekłada się na inny język, sukcesy proletariatu stają się jej osobistymi wygranymi, klęski jej przegranymi. Zaczyna żyć życiem nowym, które ją pochłania. Zwrot w jej świadomości odbył się poza jakimiś bezpośrednimi widokami na materialną poprawę bytu.

W pierwszej części powieści napotykamy wypowiedzi i tendencje Olbrachta, które radbym zakwestionować z racji ich uogólnień.

— Wy, ta niższa klasa, jakże jesteście szczęśliwi. Jakże ja wam zazdroszczę! — Skarży się pracodawczyni Anny. Ton podobnych do tej wypowiedzi pojawia się często, akcja powieści służy także do wykazania, że wypowiedzi takie pokrywają się z prawdą. Olbracht utrzymuje, jakoby zgubę przynosił sam fakt posiadania bogactw.

Osobliwe także u Olbrachta wydaje się idealizowanie miłości i przejawów proletariackiego życia. Nie chodzi przecież o to, aby odrazu wpadać w krańcowość naturalistów, którzy pokazali fabrykę pożerającą na dobę dwadzieścia lat życia ludzkiego, robotników o charakterystycznych głowach półgłówków i symbolicznych torsach.

Np. Anna zbty szybko w przeciągu niewielu miesięcy staje się dojrzałym, mądrym człowiekiem, uświadomionym członkiem klasy robotniczej.

Miłość u Olbrachta jest syta nawet wśród podmiejskich ruder, usypów i śmietnisk, które wydają się żiżkowskiemu proletariatowi Niceą i Abacją, Schwenningen i hotelem Garni. Przy tym — dodaje Olbracht, były wiele milsze niż buduary dam i nadbrzeżne gaje z książek panny Rubesz. — Raczej jednak były śmietniskami usłanymi wypaloną trawą, z których mógł miłosne parki spędzać każdy nocny stróż. Tendencja ukazywania nieszczęśliwych, samoniszczących się burżujów nie wychodzi na dobre powieści Olbrachta. Dwudziestolecie światowej literatury znało niejedną reakcyjną książkę osłabiającą nienawiść do klas uprzywilejowanych. Oto przykłady samych tylko tytułów powieści drugorzędnej, lecz o ogromnym zasięgu literatury: „Biedny milioner", „Pieniądze przynoszą nieszczęście" itd.

Gdy w Pradze dochodzi do wrzeń rewolucyjnych, proletariat ponosi klęskę. Dlaczego tak się stało? Olbracht w dużej panoramie powieści ukazuje szereg postaci socjaldemokratycznych przywódców. Nie potrafili się

Ulica Złota na Hradczanie

otrząsnąć z marazmu, w jakie wtrącił ich okres parlamentaryzmu. Dbali bardziej o rozwój własnych biur, aniżeli o zwycięstwo proletariatu Kunktatorstwo obok całkiem jawnej zdrady zaciążyło na losach grudnia 1920 roku. Kontrrewolucja posługiwała się przekupstwem, bądź wobec nieprzejednanych szantażem indywidualnym. Policja nie cofała się przed użyciem prowokatorów (Marzik), pragnąc za wszelką cenę rozbić jedność mas pracujących. I wreszcie gdy dojrzewa odpowiedni moment, zajmuje dom ludowy, aby następnie oddać go w ręce jawnych socjaldemokratycznych zdrajców.

Po pierwszej wojnie światowej w Czechosłowacji zwyciężyła burżuazja, na Węgrzech zdobyli władzę milicjanci Horthy'ego, przedstawiciela latyfundystów. Sandor, komunista węgierski, opowie Tonikowi — narzeczonemu Anny — o nasileniu terroru na Węgrzech. Kontrrewolucja przemawiała tam językiem faszyzmu.

W postępku Sandora, który usiłuje się zemścić na hrabim Belaffy, swym osobistym wrogu, przejawia się wzór nieprzemyślanych pociągnięć, które później, jak i przedtem, znajdowały żywy oddźwięk w ruchach anarcho - terrorystycznych. Olbracht starając się wyśledzić przyczyny klęski grudniowej pomija sytuację międzynarodową. Stara się dowieść, że przyczyny upadku demokracji wynikły głównie z winy złych taktycznie posunięć przywódców lub że wynikły z dezorientacji politycznej po uzyskaniu wolności na gruzach monarchii Habsburskiej. Nie nadmienia, że był to już okres pokoju ryskiego, ciężkich walk o utrzymanie państwa socjalistycznego przeciw wszelkiej kapitalistycznej interwencji, Wranglowców, Kołczakowców. Był to już okres po stłumieniu rewolucji węgierskiej. I jakkolwiek słuszne jest to, co pisze Olbracht o błędach lewicy, niewątpliwie winien napomknąć o rozwoju sytuacji politycznej na świecie.

Przy pracy

Aniela Łempicka

KSIĄŻKI K. U. K.

Rok 1948 postawił na wokandę najpilniejszych zadań naszego ludowego państwa sprawę wielkiej ofensywy kulturalnej mającej objąć swym zasięgiem jak najszersze masy społeczeństwa polskiego, a więc przede wszystkim masy robotnicze i chłopskie. Naczelnym problemem polityki kulturalnej stało się zagadnienie czytelnictwa szeroko dyskutowane na łamach pism literackich. Konsumentem literatury pozostaje wciąż jeszcze prawie wyłącznie inteligent. Jeśli uprzytomnimy sobie, jak cienką warstwę stanowi inteligencja w stosunku do ogółu społeczeństwa, problem czytelniczy ukaże swoje właściwe oblicze. Chodzi więc o aktywizację mas chłopskich i robotniczych jako odbiorców literackich — od tego zależy ukształtowanie się nowej kultury ludowej w Polsce.

Do zrealizowania tych postulatów utworzony został Komitet Upowszechnienia Książki. K. U. K. ma się zająć koordynacją dotychczasowych wysiłków akcji upowszechniania literatury, nadania tej akcji jednolitego planu i kierownictwa. Działalność K.U.K.-u obliczona została na okres planu 6-cioletniego. W ramach swoich zadań postanowił K.U.K. utworzyć własne wydawnictwo, którego celem jest dostarczenie dobrej literatury na użytek jak najszerzej pojętych mas społecznych. W okresie sześcioletnim K.UK. zamierza wydać i rozprowadzić 200 tytułów najlepszych i najciekawszych dzieł literatury polskiej i obcej. Książki z biblioteki K.U.K. mają rozpocząć inwazję literacką na wieś i w ośrodki robotnicze, mają zdobyć dla czytelnictwa dotychczas tylko potencjalnych odbiorców i uaktywnić czytelników przygodnych, pozyskując ich dla dobrej książki.

Jaka książka zadaniom tym będzie mogła sprostać — o to toczyły się długie dyskusje na łamach pism, narady instytucji oświatowych, ankiety wśród badaczy czytelnictwa. O ile wiem, K.U.K. nie ustalił definitywnie listy swoich 200 tytułów — sprawa więc jest wciąż jeszcze aktualna dla propozycji i dyskusji. Natomiast ogólny charakter książki tego typu jest już jasny.

Powinna to być książka wysokiej miary artystycznej, napisana przez najlepsze pióra, jakimi rozporządza literatura Polski i świata. Powinna posiadać dużą wartość poznawczą i zdrową zawartość ideologiczną. Obliczona na masowego czytelnika bez przygotowania literackiego musi być przede wszystkim łatwo czytelna, a więc jasna, prosta i jednoznaczna w recepcji odbiorczej, atrakcyjna w prostym sensie żywej fabuły, interesującej akcji, zręcznej narracji. A poza tym wszystkim musi to być książka bardzo tania.

Za pośrednictwem najpoważniejszych instytucji wydawniczych K.U.K. wydał swoją pierwszą serię książek. Każda pozycja tej serii jest powieleniem książki już uprzednio wydanej w mniejszym nakładzie z inicjatywy któregoś z wydawnictw współpracujących z K.U.K-iem. W ten sposób oszczędzono sporo kosztów, czasu i pracy, związanej z procesem edycji książki. Takie rozwiązanie przyczyniło się niewątpliwie w znacznej mierze do kalkulacji ceny książek K.U.K.-u — ceny zupełnie wyjątkowej: 100 złotych za normalnych wymiarów tom powieściowy o estetycznej okładce i na dobrym papierze. Postulat taniości został zrealizowany w stopniu przekraczającym najśmielsze nadzieje i — dodajmy — osiągnięcie takie jest do pomyślenia tylko w państwie o uspołecznionym ustroju gospodarczym.

Pierwszą partię swych książek oddał już K.U.K. do sprzedaży i prenumeraty. Debiut tej wielkiej i trudnej imprezy należy uznać za bardzo udany i szczęśliwy. Dobór książek zaskakuje odrazu efektowną różnorodnością tematyki i problemów, miejsca i czasu akcji, gatunków powieściowych i stylów pisarskich. Większość pozycji to wielki repertuar klasyczny — Hugo, Prus, Orzeszkowa, Kraszewski, Jeż, Sienkiewicz, Gorki — nie pominięto jednak i dobrej powieści współczesnej. Oprócz literatury polskiej — reprezentowana jest powieść francuska i rosyjska. Obok powieści o tematyce aktualnej — historyczna i podróżnicza. Dla zawartości poznawczej i punktu atrakcyjności nieobojętny jest fakt, że kilkanaście pozycji K.U.K-u wprowadza czytelnika w charakter różnych krajów i epok w wielkiej rozpiętości chronologicznej, bo podsumujmy tylko: starożytny Egipt, Polska przedhistoryczna, średniowieczna i saska, Serbia w XVIII-ym wieku, Rosja w okresie ruchów rewolucyjnych początku XX-go w,, wreszcie front pod Moskwą w czasie ostatniej wojny. W przeglądzie miejsc akcji powieści K.U.K nie można także zapomnieć o dwu pozycjach egzotyki podróżniczej, które przerzucą czytelnika od puszcz afrykańskich do lodów podbiegunowych. Chodzi o dwie książki jakże charakterystycznie odmienne w swoich realizacjach — tradycyjną „W pustyni i puszczy“ i reportażowo ujętą opowieść Sempołowskiej „Na ratunek“ o wyprawach polarnych radzieckich łamaczy lodów, śpieszących z pomocą uwięzionym pod biegunem odkrywcom.

W parze z atrakcyjną różnorodnością czasu i miejsca akcji powieściowej idzie rozpiętość problematyk i tematu, przy tym trzeba podkreślić, że mimo swoją rozmaitość jest to zawsze problematyka wielka, poruszająca istotne sprawy człowieka i społeczeństwa. Będą to wielkie panoramy historyczno-ustrojowe, lub walka człowieka z przyrodą o poznanie i opanowanie jej, wojny defensywne z inwazją najeźdźcy i narodowe ruchy wyzwoleńcze, walka człowieka o sprawiedliwość indywidualną i społeczną, problematyka wsi.

Tematyce wiejskiej wyznacza dotychczasowa seria książek K.U.K-u sporo miejsca, bo na ogólną ilość kilkunastu — cztery pozycje. „Dziurdziowie“, „Placówka“, „W Roztokach“, „Orka na ugorze“. Układają się one w bardzo ciekawy porządek czasowy, ukazując przemianę wyglądu wsi i charakterystyczny rozwój jej problematyki socjalnej od pozytywistów po okres międzywojenny.

Przy tej okazji chciałabym poruszyć sprawę, o której pisał już w swojej relacji z książek K.U.K-u Paweł Hertz w „Kuźnicy“. Chodzi o to, że książki te są z założenia wydawnictwa przeznaczone dla nieprzygotowanego literacko odbiorcy. Wobec tego wydaje mi się rzeczą niezbędną umieszczenie na początku książki krótkiej notatki informującej o autorze i czasie powstania utworu. Notka taka poza informacją ma na celu zorientowanie czytelnika w historycznej interpretacji wartości książki bez obciążania jej uciążliwym balastem komentarza. Sądzę, że zadanie to jest tym bardziej uzasadnione, że lektura klasyków może nasuwać sposobność do zbyt nieostrożnej recepcji intencji autorskiej. Zwięzła informacja o utworze pomogłaby uniknąć tych niebezpieczeństw.

Pierwsza partia książek K.U.K-u ułożona jest ze specjalną uwagą na łatwość odbioru czytelniczego. Widać w tym staranie o wyposażenie książki w siłę atrakcyjną, mogącą zwerbować każdego, kto zasmakuje w czytelnictwie. Pozycje w K.U.K-u odznaczają się wielką prostotą w narracji, fabułą trzymającą w napięciu uwagę czytelnika, żywym rysunkiem charakterów, interesującą tematyką. Nie jest to dziwne u klasyków, w książkach Hugo, Sienkiewicza, Jeża — są to bowiem ich od dawna znane atrybuty. Nie jest rewelacją pod tym względem także książka Sempołowskiej, gdzie sam temat — ratunkowe wyprawy podbiegunowe — jest dostatecznie sensacyjny i wymaga tylko dobrej roboty reportażowej, aby go pisarz nie popsuł.

Ale naprawdę zastanawiająca jest pod tym względem współczesna książka rosyjskiego autora Aleksandra Beka „Szosa Wołokołamska“. Jest to bowiem wspaniały przykład utworu literackiego, jaki w polskiej produkcji nie wyszedł poza sferę postulatów — utworu zdolnego zaspokoić wymagania najbardziej wybrednego krytyka i poruszyć w najszerszym pojęciu masowego czytelnika. Prosta relacja wojenna o bitwie pod Moskwą odznacza się rzadką skromnością słowa i techniki pisarskiej. Jest to jednak bardzo trudna prostota, która nie wychądząc z zasięgu żołnierskich pojęć potrafi ze swobodą i precyzją ukazać subtelny i złożony proces dojrzewania żołnierza do świadomego zbiorowego wysiłku bohaterstwa w słusznej sprawie.

Książki K.U.K., o nakładzie w pierwszym rzucie po 50.000 egzemplarzy każdy, otwierają przed pisarzami polskimi nieznane dotąd perspektywy. Czytelnik polski dzisiejszy i ten zwerbowany przez akcję K.U.K. czeka na współczesne dzieła tej miary co „Szosa Wołokołamska“ w realizacji polskich twórców.

Akcja K.U.K-u ma charakter społeczny i dlatego musi szukać pozaksięgarskich dróg rozpowszechnienia książki, aparat księgarski nie wystarczy bowiem na to, aby książka trafiła do tego czytelnika, o którego w tej akcji chodzi. Do udziału w akcji K.U.K., niezależnie od sieci bibliotecznych, zgłosiły swój akces związki zawodowe, organizacje polityczne, społeczne, młodzieżowe. Oddział P.Z.W.S. w Krakowie podaje, że na ogólną liczbę abonentów 8 proc. przypada na indywidualnych prenumeratorów robotniczych i chłopskich. Ponieważ jest to dopiero start działalności K.U.K., cyfrę tę, w świetle wyników dotychczasowych badań nad czytelnictwem należy uznać za prognostyk raczej optymistyczny. Na to jednak, żeby książka dotarła tam, gdzie miała trafić, musimy jeszcze poczekać i to czas dłuższy. Nakład 50.000 trzeba będzie wtedy zwielokrotnić.

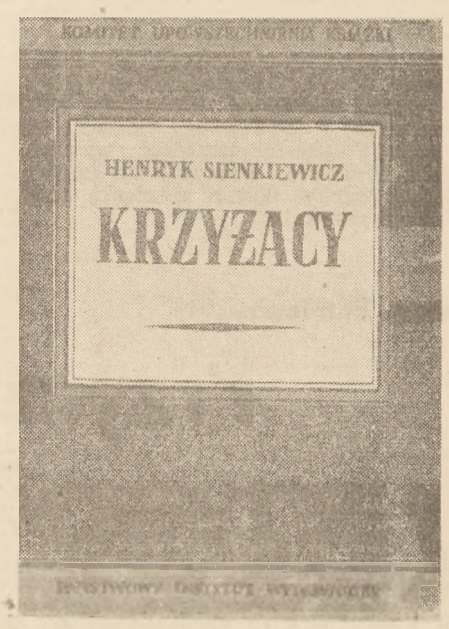

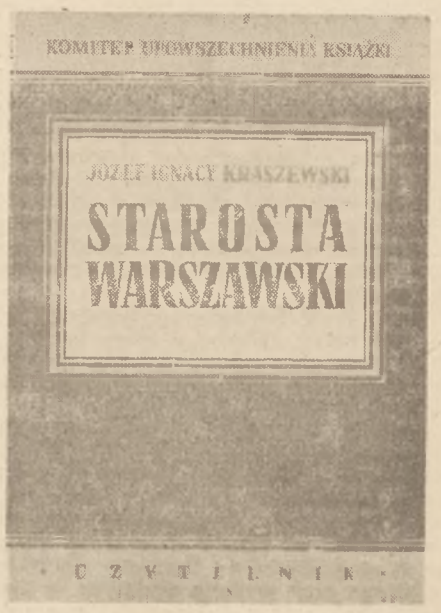

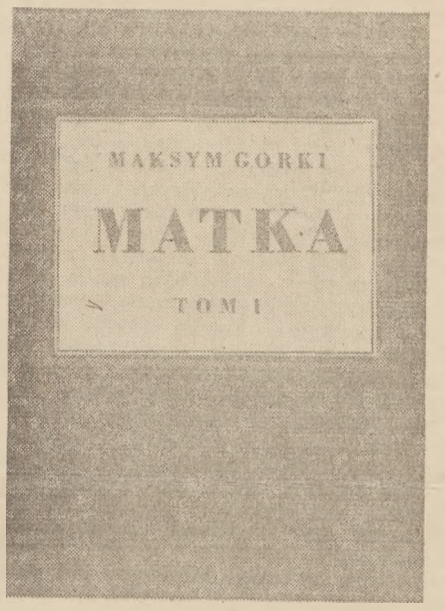

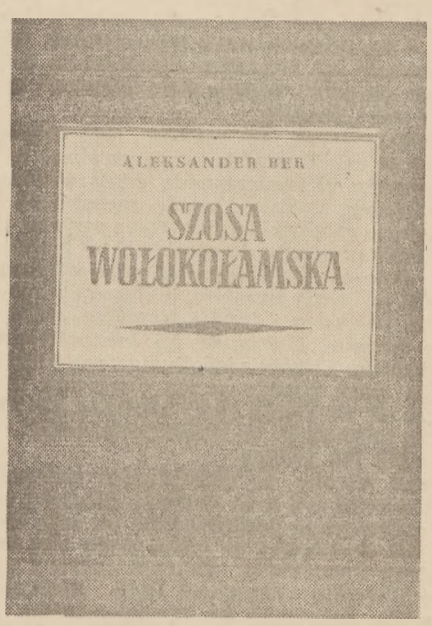

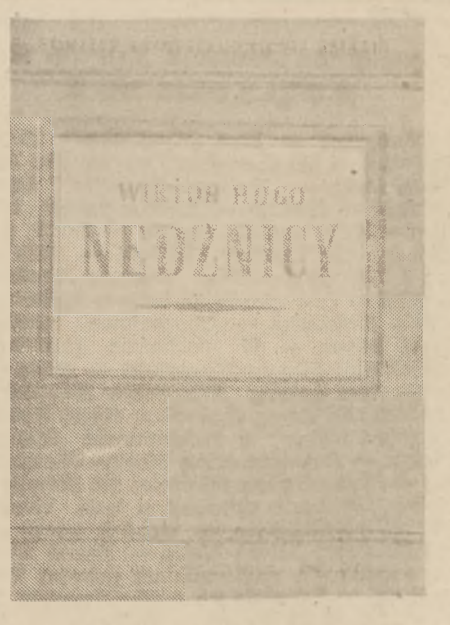

Józef Pogan

SPOTKANIA KLASOWE

Wyzyskiwacze pracującego ludu oraz ich zbałamuceni zwolennicy siedzą obecnie jak „na szydłach“. Psioczą też przy każdej okazji na obecną rzeczywistość. I bynajmniej nie z powodu trudności życiowych. Gdzież tam? — żyją przecież częstokroć lepiej od tych, których dawniej w przeróżne sposoby wyzyskiwali i gnębili. Psioczą, bo nie mogą znieść przobrażania się w człowieka: biednego chłopa i robotnika. To ich drażni, to ich boli, to im ogromnie zatruwa życie. Oczywiście, wyrażają się oględnie, bo pono „dziś takie czasy, że się nie można słusznie wygadać“.

Tych „siedzących na szydłach“, spotkać można zarówno wśród inteligencji, a częściej jeszcze wśród wiejskich bogaczy. I nie ma spotkania, by nie zauważyć ich nienawiści do biednych chłopów i robotników. Oto krótkie pokłosie z takich spotkań.

Byłemu zagonowemu szlachetce pożyczyłem książkę Wandy Wasilewskiej „Ojczyzna“. Nie znał tej powieści, więc z ciekawością przeczytał. Pytałem go, co sądzi o książce? Uśmiechnął się ironicznie: — „Jak na dzisiejsze czasy — dobra“. Czyli na wczoraj i jutro — zła. Wyjaśniłem mu, że jest to nowe wydanie, „Ojczyzna“ Wasilwskiej zdobyła sobie szeroką poczytność jeszcze przed wojną.

— Zależy u jakich czytelników — odparł znów drwiąco.

Wielomorgowiec i młynarz zarazem, który stale klął na służących i przezywał: „Zapie... sieroto“, który przed wojną po pięćdziesiąt groszy płacił za osiemnasto-godzinny dzień pracy przy sianokosach i przy żniwie — pod kościołem wskazał na pewnego analfabetę i na drugiego, chowającego tylko kozę, i wyrzekł drwiąco: „Jakże ma być dobrze, jak tacy jak tyn rządzo, a tacy jak tyn koziorz piso książki“ (aluzja do mnie).

Inny znów bogacz, który zachłystywał się od śmiechu ze swej kulawej służącej i przezywał ją „zgrzypidupką“, liczył się jakoś ze mną, gdym dawniej u niego narabiał. Ale obecnie różne „cuda“ o mnie wygaduje.

— Zmier-zyniec, ni mo o cym pisać, ino o maślonce jak służąco jodała“... (moje opowiadanie „Służba“). „Nie pamięto dziod, ze i maślonki downi u siebie ni mioł... Opisuje, zmier-zyniec, jak bogatsy na złoś biedniejsymu przekazywoł się z miesym, jak jod“... (moje opowiadanie „Biedny i bogaty“). „Móg i on zryć mieso, przecie mu nik nie bronił... Cymuz to nie pise tak jak uconi: o wojnie, cy o miłości, ino o maślonce?... Downo to dziod kozy po krzokach posoł“?...

W ostatnich dniach otrzymałem list od krewniaka. Pisze mi, że był u niego młynarz (nie ten wspomniany powyżej) i wielce na mnie narzekał, że opisałem go w mym pamiętniku, jak drwi stale z biedaków, jak to kupił przed wojną cztery morgi łąki, wybudował nowy dom i młyn, i jak to za Niemców był gminnym agronomem itp.

Nie należy się dziwić bogatemu młynarzowi — dziwić się natomiast należy mojemu krewniakowi, autorowi listu. Bo udziela mi pouczających wskazówek i strofuje „po co takie bzdury o ludziach piszę, zwłaszcza o młynarzu i szkodzę jego opinii... że to brzydko z mej strony...“ itp. A więc ten mój krewniak, choć na paru morgach klepie biedę, jednak z braku uświadomienia daje się bogaczowi poklepywać po ramieniu, kłania mu się jak za dawnych czasów i ujmuje się za nim. Nie widzi przepaści klasowej między sobą, a bogaczem żyjącym z wyzysku innych.

Dziwną też propagandę uprawia organista ze znanej mi wioski. Z pozoru popularyzuje mój „Dekret niebieski“.

— Patrzcie ludzie — powtarza — jak się to obecnie robi: demokratyczni pisarze mieszają Boga do reformy rolnej, zwołują na ziemię świętych i drwiny sobie z nich robią... gwarą po chamsku za nich i za samego Boga gadają... To przecież jest przedrzeźnianie Boga i świętych jego... Tak się to dzisiaj robi“...

Wiadomo, że taka metoda propagandy działa na dewociarzy odrażająco, nie tylko do rządu, ale i do nowej realistycznej twórczości. Sprytny organista wie, od której strony podchodzić do nieuświadomionego ludu, jak mu obrzydzać demokrację. Ale tego nie obliczył, że równocześnie rozciekawia ludzi do książki... „bluźniercy“.

Gdy zrozumiały jest ów stosunek do nowej rzeczywistości u byłego szlachetki, młynarzy i innych bogaczy czy też organisty — nie zrozumiałym wydaje się stosunek pewnej nauczycielki, z którą żyłem w przyjaźni przez kilka lat przed moim wyjazdem na Śląsk. Dyskutowaliśmy często na przeróżne tematy, pożyczałem od niej książki. Toteż posłałem jej swe opowiadania z dedykacją, prosząc o odpowiedź, czy jej się książka spodobała czy nie? Nauczycielka listu do mnie nie napisała. Boi się do mnie napisać, by „w razie czego, gdy przyszłe władze będą mnie wieszać za obecne pisanie — śledztwo nie znalazło u mnie listu nauczycielki i nie powieszono jej wraz ze mną“.

Podane powyżej przykłady są na szczęście jednak rzadkością. Pracujące masy wnet już zwalczą do reszty różnych swych gnębicieli i wyzyskiwaczy, zaś nowy prąd przemian społecznych przewietrzy mózgi nieuświadomionych i zbałamuconych tu i ówdzie chłopów czy też „wykształconych“ mętlików.

Rzecz jasna, że zgłaszając swój udział w akcji upowszechnienia książki, związki zawodowe i organizacje polityczne i społeczne powinny dołożyć wszystkich starań, aby książki K.U.K. znalazły się w każdej bibliotece zakładowej i świetlicy oświatowej. Należy jednak pamiętać, że nowy czytelnik nie przyjdzie po książkę sam. To książka musi przyjść do niego, inaczej będzie ona stała na półce, docierając co najwyżej do garstki aktywistów. Trzeba tu zaapelować do dobrej woli i osobistej inicjatywy kierownika biblioteki świetlicowej i oświatowego działacza organizacyjnego, aby nie szczędząc wysiłku, zechciał rozumnie, stosownie do terenu, na którym pracuje, dotrzeć z książką do potencjalnego czytelnika

Książki K.U.K. mają cenę tak rewelacyjnie niską także w tym celu, aby niezależnie od biblioteki gminnej czy zakładowej, mógł je nabyć na własność robotnik i chłop, zakładając u siebie własny księgozbiór, czytany przez niego i rodzinę, wypożyczany przez przyjaciół. Na to jednak, żeby nasz nowy czytelnik powziął taką decyzję, musi się najpierw o tych książkach dowiedzieć, a poza tym musi je także zobaczyć. Wtedy dopiero może je zaabonować, to znaczy zdobyć się na wypisanie blankietu, dostarczenie go na pocztę, opłacenie i wysłanie. Prenumerata posiada tę niedogodną właściwość, że wymaga wykonania szeregu czynności, które się mają opłacić po pewnym czasie. Dlatego nawet u poszukującego książki i obeznanego z tą forma kolportażu czytelnika napotyka prenumerata na pewien opór. To też czytelnikowi, którego się dopiero dla książki zdobywa, trzeba dopomóc w przełamaniu tych trudności.

Pokazywałam książki K.U.K. robotnikom kilku większych zakładów pracy w Krakowie. O akcji K.U.K. na ogół nie wiedzieli, ale książki ich zainteresowały. Pytałam się, jaką drogą można by rozpowszechnić te książki wśród ich kolegów. Odpowiedź brzmiała mniej więcej tak:

— Gdyby przyszedł do nas nasz kierownik świetlicy nie 30-go, ale zaraz po wypłacie, gdyby nam te książki pokazał, wtedy na pewno wielu zdeklarowałoby się na abonentów, zwłaszcza, jeśli sam kierownik załatwi wysłanie zamówień.

Myślę, że ci robotnicy mieli rację.

To nie znaczy, żeby ta recepta była uniwersalna. Każdy teren działania wymaga trochę odmiennej taktyki. Chodzi tylko o inicjatywę ludzi biorących udział w społecznej pracy upowszechnienia książki, o ich osobisty do tej sprawy stosunek. Miejmy nadzieję, że tak pojęta praca oświatowa połączona z procesem przeobrażeń technicznych i gospodarczych naszej wsi doprowadzi z czasem do tego, że każda spółdzielnia wiejska, do której chłop chodzi po sól i papierosy, sprowadzając artykuły pierwszej potrzeby dla swoich klientów, wyznaczy u siebie półki na kiosk dobrych książek.

Aniela Łempicka

Jerzy Pomianowski

Przyczynek do przekładów A. Czechowa

Ze zrozumiałym zaciekawieniem przeczytałem w świątecznym 105 (1209) numerze „Kuriera Codziennego“ artykuł „O polskich przekładach A. Czechowa, pióra Stanisława Stempowskiego, znakomitego publicysty i krytyka, zasłużonego wydawcy i tłumacza, autora — drukowanych częściowo w prasie literackiej — wspomnień, na których ukazanie się czekamy z niecierpliwością.

1.

Artykuł zawiera kilka ważnych i cennych myśli. Zwraca uwagę zwłaszcza trafna charakterystyka historycznego i społecznego podłoża twórczości Czechowa — nowelisty oraz słuszne potępienie zdawkowej i pokutującej w nas dotąd z winy pokątnych tłumaczy i niepowołanych wydawców — opinii o Czechowie jako pisarzu wyłącznie — rzekomo — „zabawnym“.

Druga część rzeczonego artykułu poświęcona jest nader zwięzłej a przez to tym bardziej dosadnej i surowej krytyce przekładów opowiadań Czechowa, które ogłoszone zostały ostatnio w prasie i przez radio.

Istotnie, większość znanych mi polskich tłumaczeń nowel Czechowa zasługuje na ostre potępienie. Opowiadania te były dla ich krótkości, arcydzielnej jasności i względnej komunikatywności przedmiotem rabunkowej eksploatacji ze strony najczęściej anonimowych — wydawców i tłumaczy (przykładem „Straszna noc“ wydana niedawno w Warszawie), choć mamy już sporo tłumaczeń dobrych, że wymienię przedwojenne prace nieodżałowanego Mieczysława Binoma i powojenne — Pawła Hertza (doskonały „Miętus“). Nie mamy jednak dotąd dobrych tłumaczeń tak ważnych i dla stylu Czechowa znamiennych opowieści, jak „Step“, „Szósty pawilon“, „Chłopi“ i in., które są chlubą literatury nie tylko rosyjskiej — jak to pisze Stanisław Stempowski — lecz i europejskiej, światowej. Stan ten dojrzał do szybkiej zmiany, podobnie zresztą jak cała sytuacja w dziedzinie tłumaczeń z literatur obcych*). Tym ważniejsza jest tu rola krytki i tym większą należy zwracać uwagę na formułowane przez nią postulaty.

2.

Autor omawianego artykułu widzi dowody „niesłychanej lekkomyślności i niesumienności tłumaczy“ w „braku pietyzmu dla autorskiego słowa, a często nieznajomości języka zarówno rosyjskiego jak i polskiego“.

Są to grzechy nadzwyczaj poważne i walczyć z nimi należy uparcie, jednakże walka ta jest stosunkowo łatwa, może być bowiem stoczona w ciszy gabinetów redakcyjnych pod warunkiem odpowiedniej sumienności korektorów, redaktorów i wydawców, którzy w naszym państwie ludowym inne już i szlachetniejsze mają bodźce do działalności niż chęć zysku za wszelką cenę, skłaniającą przedsiębiorców kapitalistycznych do formalnych przestępstw wobec czytelników, mowy ojczystej i kultury. Planowanie i kontrola wewnętrzna wyruguje wkrótce oczywistych nieuków, niedołęgów i dyletantów także i z tego azylu. Krytyka literacka będzie więc mogła — nie bez uczucia ulgi zrzec się funkcji sanitarno - porządkowych, co pozwoli jej nareszcie przejść do postulowania. W interesującej nas dziedzinie na czoło wysuną się zapewne postulaty wierności (pojęcie to należy odróżniać od pojęcia werbalnej ścisłości, acz nie są one sprzeczne) i komunikatywności, aktualnej czytelności przekładu. Sądzę, że wykroczenia przeciw tym zasadom są niebezpieczniejsze od gramatycznych usterek piętnowanych słusznie przez St. Stempowskiego. Niebezpieczniejsze, bo oddalające tłumaczonego autora od czytelnika. Są one niedostrzegalne przy gramatycznej, czysto formalnej korekcie, ale za to uchwytne dla krytyki literackiej, żądającej od tłumacza, **by starał się osiągnąć ten sam, co w oryginale, efekt i cel, stosując przy tym środki specyficzne dla swojego języka i jednoznacznie zrozumiałe dla czytelników.**

Śmiem twierdzić, że duża część tłumaczeń z literatury rosyjskiej (zwłaszcza radzieckiej) grzeszy przeciw tym zasadom.

Dotyczy to i większości tłumaczeń nowel A. Czechowa, nawet tych, które nie wiele pozostawiają do życzenia z punktu widzenia gramatyki. Niech mi wolno tu będzie zacytować znanego tłumacza, krytyka, historyka literatury i radzieckiego poety Kornieja Czukowskiego, który w książce swojej o sztuce przekładu pt. „Wysokoje iskustwo“ (Moskwa 1941) pisze co następuje:

„Jeśli w tłumaczeniu, mającym czysto informacyjne cele, rzeczą najważniejszą jest ścisła dosłowność, to w tłumaczeniu literackim pewne niedokładności werbalne grają rolę trzeciorzędną, a ci krytycy, którzy próbują zdyskredytować ten czy ów przekład drogą podkreślania podobnych usterek, uciekają się do takiej demagogii wyłącznie w chęci wypaczenia smaku czytelników.

Nie zamierzam, oczywiście, bronić błędów tłumaczy i sądzę, że należy walczyć z nimi bez wytchnienia, ale nie one są najważniejsze.

Najważniejszą rzeczą jest, by tłumacz oddał w swoim tekście myśl tłumaczonego autora, jego oblicze, jego głos, jego manierę literacką, jego styl. Cały wysiłek tłumacza winien być skierowany przede wszystkim na wykonanie tego zadania“. (str. 10—11).

Twórcza krytyka przekładu nie może zatem ograniczać się do analizy oderwanych elementów werbalnych i gramatycznych, ale — i nawet przede wszystkim — winna sprawdzić **funkcję** zarówno elementów przekładu względem siebie, jak i funkcję społeczną całego utworu — względem czytelnika i to czytelnika konkretnego.

3.

Otóż autor omawianego artykułu, cytując wadliwe przekłady opowiadań Czechowa przytoczył m. innymi kilka zwrotów z noweli „Niepokój publiczny“, tłumaczonej przez niżej podpisanego i zamieszczonej w N-rze 12 „Wsi“ z 20 III 49.

Przykro mi niezmiernie być adwokatem własnej sprawy (aczkolwiek znana mi jest skrzydlata maksyma Koźmy Prutkowa: „Cóż powiedzą o tobie inni, jeśli sam o sobie nie masz nic do powiedzenia?“).

Sądzę jednak, że zaangażowanie osobiste nie pozbawi tych słów pewnych cech słuszności.

Chodzi mi, dalibóg, nie o ambicje osobiste. Sprawa jest ważna obiektywnie. Istnieją dwie metody przekładu i właśnie różnica między nimi jest źródłem większości pretensji p. Stempowskiego.

Nawiasem: żałuję bardzo, że czcigodny mój adwersarz nie miał w ręku innych tłumaczeń pióra niżej podpisanego, chociażby — ogólnie dostępnych przekładów z poetów rosyjskich, bądź powieści Effendi Kapijewa — „Poeta“. Jakikolwiek byłby jego sąd o tych pracach, mielibyśmy przynajmniej pewność, że nie jest ów sąd tym, co w logice nosi nazwę sofizmatu fałszywej indukcji. Wyciąganie ogólnych, przy tym tak kategorycznych wniosków z jednego tylko przypadku nie jest rzeczą przyjętą nawet u nas, w krainie tzw. „bezinteresownych kopniaków“.

Zastrzeżenia p. St. Stempowskiego dotyczą, albo spraw ścisłości, leksyki, gramatyki itd. albo — trafności zwrotów.

Częścią tych zarzutów można obciążyć korektę („Szpaki poleciały podziabać...“).

Tu mógłbym dopomóc krytykowi i wskazać mu kilka wierszy wręcz przestawionych przy składaniu („Ptak—kat na jagody, to prawda, ale zawsze to żywe stworzenie, że tak powiem — **wszelkie ptaki**“ — oczywisty nonsens — powinno być — **„ptaszyna boża“**). O tym mówić nie będziemy, nie posądzam p. Stempowskiego, by zajmował się tzw. z rosyjska „łowlej błoch“.

Jeśli chodzi o tytuł, to zwrot „brożenije umow“ przetłumaczyłem przez analog „niepokój publiczny“ zarówno z uwagi na bliską funkcję użytkową obu tych idiomatów, jak i po to, by uwypuklić satyryczny charakter opowiadania, skierowanego ostrzem — przede wszystkim przeciw tępocie władz carskich, wietrzących w owych czasach zarodek niepokoju publicznego, zamieszek i buntów w każdym spontanicznym odruchu społeczeństwa.

Pragnę tu zapewnić zresztą szanownego krytyka, że wszelkie usterki werbalne w przekładzie zostaną starannie usunięte w trakcie przygotowania do druku tomu „Opowiadań uciesznych“ (a nie „Wesołych“ — jak donosiła „Wieś“), które wymagają jeszcze — jak każda książka — pracy a pracy.

Są też zastrzeżenia. Tak np. St. Stempowski zarzuca, że słowo „raboczyje“ tłumaczone było jako „wyrobnicy“; rzecz w tym, iż Czechow w oryginale użył nie wyrazu „raboczyje“ lecz „fabricznyje“, które to słowo wyszło z użycia w Rosji podobnie jak przestarzałe, z okresu manufaktur pochodzące polskie „wyrobnicy“, przez co to ostatnie zyskało w tym wypadku walor zupełnego odpowiednika.

Kilka zwrotów uważa p. Stempowski za nietrafne bądź nieodpowiednie (np. „Rozejść się! Caf się; ażeby cię diabli wzięli!“). Są to zwroty dialogowe, w których gwara rosyjska zastąpiona została przez tradycyjną dla opisywanego środowiska gwarę małomiejską polską. Otóż właśnie w takich wypadkach różnice między czcigodnym moim adwersarzem a niżej podpisanym mają korzenie głębsze i wynikają z **inności metod** oddawania „stylu, głosu i oblicza“ tłumaczonego pisarza. Tu śmiałbym bronić metody własnej i nie zgodzić się na metodę zastosowaną przez St. Stempowskiego w nieostrożnie dołączonym do jego artykułu przekładzie „Córy Albionu“ Czechowa. Jest to metoda moim zdaniem niecelowa i nawet mało pożyteczna! Pozorny pietyzm dla oryginału skłonił mianowicie tłumacza do literalnego przenoszenia co jędrniejszych wyrazów i całych idiomatów rosyjskich do tekstu polskiego! Nie jest bowiem chyba wynikiem pomyłki, lekkomyślności, niesumienności ani braku znajomości języka polskiego, użycie takich zwrotów jak: „arystokracik“, „siedzę jak jaki podlec“, „czort ich wie“. „Ona nie kobieta, a dziewica...“ (tu pozwolę sobie przypomnieć, że ros. „diewica“ ma dokładny odpowiednik w polskiej „pannie“ polska zaś „dziewica“ to raczej ros. „diewa“).

Anachronizm tej metody jest oczywisty, jako że celem przekładu nie powinno być osiągnięcie **niezamierzonego przez autora** dodatkowego efektu w postaci zachowania wątpliwego „couleur locale“ Owo pozorne przybliżenie oryginału do przekładu w istocie rzeczy daje wrażenie rzekomej nieprzetłumaczalności pewnych zwrotów, jakiegoś ubóstwa języka polskiego i języka tłumacza, pozbawiając nowelę Czechowa jej humanistycznego znaczenia. Zwroty niedotłumaczone trochę też rażą ucho polskie w ich brzmieniu literalnym. W rezultacie rzecz brzmiąca dla Rosjanina naturalnie, w tłumaczeniu brzmi egzotycznie dla Polaka.

Ani wątpię, że czcigodnemu mojemu adwersarzowi nie o to chodziło, niemniej nader konsekwentnie przetłumaczył on całą nowelę takim sposobem i w takim stylu. Nie śmiem jednak formułować żadnych sądów i z niecierpliwością oczekiwać będę ukazania się innych tłumaczeń St. Stempowskiego, spodziewając się wiele zyskać na ich lekturze.

Jerzy Pomianowski

*) Warto przypomnieć, że jednym z pierwszych aktów rządu radzieckiego po Rewolucji Październikowej było utworzenie wydawnictwa „Wsiemirnaja litieratura“, które pod kierownictwem Gorkiego, przy bezpośrednim udziale Błoka, Briusowa, Łunaczarskiego i in. wydało w ogromnych nakładach większość klasycznych dzieł piśmiennictwa światowego, udostępniając je najszerszym masom. Działo się to w latach wojny domowej, głodu i moru, stagnacji oraz braku najniezbędniejszych przedmiotów użytku codziennego.

Jerzy Waleńczyk

Życie literackie Białorusi

Trzeci zeszyt „Oktabra“ przynosi artykuł dotyczący literatury białoruskiej, której ostatnio sporo miejsca poświęca się na łamach radzieckiej prasy literackiej. Daje on retrospektywny rzut oka na 30-lecie literatury białoruskiej, z którego kilka uwag przytoczę.

W ciągu 30 lat istnienia Białorusi Radzieckiej naród białoruski położył wybitne zasługi we wszystkich dziedzinach sztuki. Poza granicami Białorusi znane są teatry białoruskie, noszące nazwę Janka Kupały i Jakuba Kolasa. W okresie władzy radzieckiej na Białorusi stworzono dramaturgię narodową, operę, muzykę baletową, kinematografię itd. Literatura białoruska jest organicznie związana z najlepszymi tradycjami narodu, przedstawia cechy jego egzystencji i psychiki. Rozwój literatury Białorusi radzieckiej można podzielić na etapy, które są nierozłącznie związane z etapami rozwoju społeczeństwa radzieckiego i państwowości radzieckiej. Ma ona i swoje specifica określone historycznie warunkami życia przedrewolucyjnego narodu białoruskiego, rozłożeniem sił klasowych i formami walki klasowej. Z kadr pisarzy przedrewolucyjnych do literatury radzieckiej weszli tacy poeci, jak Kupała i Kolas. Pojawienie się w 1923 r. masowej literackiej organizacji „Mołodniak“ było początkiem powstania szerokiego ruchu literackiego na Białorusi, który doprowadził potem do zorganizowania Związku Pisarzy Białorusi Radzieckiej. W tym okresie sygnalizują swoje nazwiska głośno: Michał Lynkow, Konrad Krapiwa, Pawluk Trus, Kuźma Czerny, Piotr Gledka, Pietrus Browka. Zasadniczymi tematami ich twórczości w tym czasie były tematy odbudowy i rozwoju gospodarki ludowej zniszczonej dwoma wojnami, wydarzenia wojny domowej, ruchu partyzanckiego, obnażanie zakusów wrogów wewnętrznych i zewnętrznych, problemy rewolucji kulturalnej. Jakub Kolas kończy wówczas swoje społeczno-obyczajowe epopeje („Nowa Ziemia“) i pisze pierwsze w radzieckiej białoruskiej literaturze powieści — „W głuszy Poleskiej“ i „W głębi Polesia“ poświęcone odtworzeniu życia ludu białoruskiego i inteligencji białoruskiej w okresie 1905 r. Szczególnie szybko rozwijała się literatura białoruska w latach pierwszych pięciolatek stalinowskich. Czołowe miejsce zajmowała tu tematyka kolektywizacji gospodarki wiejskiej, industrializacji kraju, problemy walki klasowej i czujności wewnętrznej.

Decydująco w określeniu dalszej drogi rozwoju literatury białoruskiej zaważyło postanowienie CK WKP(b) o przebudowie organizacji literackich w roku 1932 i wyłoniony przez Stalina postulat realizmu socjalistycznego. W 1934 r. wszechzwiązkowy zjazd pisarzy radzieckich ocenił pozytywnie literaturę białoruską jako jedną z czołowych literatur Związku Radzieckiego. Aktywność pisarzy radzieckich wzmaga się. Ukazują się dzieła patriotyczne Kolasa i Kupały: „Pieśń o budowie“, „Białorusi nagrodzonej orderem“, „Od serca“ (Kupała), „Pod słońcem stalinowskim“ i „Nasze dni“ (Kolas). Ukazuje się duża zbiorowa wierszowana opowieść epicka o życiu narodu białoruskiego — „List do Wiekiego Stalina“.

Znacznymi osiągnięciami może się również poszczycić proza i dramaturgia. (Konrad Krapiwa: „Koniec przyjaźni“, „Partyzanci“, „Kto się śmieje ostatni“, K. Czerny — „Irenka“).

Wiele ciekawych sztuk pisze i wystawia jeden z fundatorów białoruskiej sztuki teatralnej — Mirowicz. Pojawiają się powieści takie jak „Trzecie pokolenie“, „Luba Łukniańska“, — Czernego, tomiki wierszy A. Kuleszowa i P. Panczenki. Naukowo-fantastyczne dzieła jednego z najbardziej popularnych białoruskich pisarzy dla dzieci, Mawra.

W 1939 r. w związku z połączeniem się całego narodu białoruskiego w jednej republice do literatury białoruskiej wchodzą nowe siły twórcze: Maksym Tank, Filip Pestrak, Michał Maszara, Bryl, Wasilek, Tawłaj, Nina Taras i M. Zasim.

Źródłem literatury białoruskiej są motywy ludowe, rytmy, obrazy, wątki ludowego pochodzenia. Dzieła lat powojennych świadczą o tym, że literatura białoruska z powodzeniem przezwycięża trudności i znajduje coraz to właściwsze i trafniejsze środki przedstawiania artystycznego zmagań i patriotyzmu jej narodu w ostatniej wojnie. Rząd Radziecki pozytywnie ocenił prace pisarzy białoruskich, nagrodził zaszczytnymi odznakami. Do rzędu laureatów premii stalinowskich należą: Jakub Kolas, A. Kuleszow, J. Browka, M. Tank.

W OSTATNIM NUMERZE „WSI“ (Nr 18 (197) Z DNIA 1 MAJA 1949 R.

Olbrzymek — Nad „Kapitałem“; **Tadeusz Orlewicz** — Do mobilizacji sił pokoju; **Maria Żmigrodzka** — „Kultura dla jutra!“ **Ludwik Łakomy** — Imiona wołające o pokój; 1 Maj (1892—1905); **Paweł Korzec** — Łódź przed 1905 rokiem; **Czesław Zieliński** — Moja Droga; 1 Maj (1918—1939); Wiersze; **Józefa Witowska** — Jest sposób na inny w świecie ład; **Maria Kościńska** — Obyczajowa tematyka; **Józef Pogan** — W pochodzie proletariatu wiejskiego; **Jürgen Kuczyński** — Dwie nauki — dwa światy; **Władysław Kowalski** — Dramaty na miarę Szekspira; **Karol Kewes** — „Brudna wojna“ w Indochinach; **Stanisław Piętak** — Pierwsza orka; **Marian Niewiarowski** — Zaczarowana tokarnia; **W. Jermiłow** — Nowe radzieckie powieści o wsi; **Krystyna Michalik-Nedelkovic** — Upadek poety amerykańskiego; **Albert Maltz** — Naród Stanów Zjednoczonych zwolennikiem pokoju; **Witold Jedlicki** — Filozofia po marksistowsku; **Fakty i zdania**; 32 ilustracje; 16 stron.

Paulina Czyżowa

O WYCHOWANIE MARKSISTOWSKIE

Okręg pomorski ZNP może się poszczycić doskonale redagowanym miesięcznikiem pedagogicznym „Życie Szkoły“. Przekracza on oczywiście granice pomorskiego okręgu i zdobywa ważność ogólnokrajową. Na czym ona polega? Przede wszystkim „Życie Szkoły“ kierując się do nauczycielstwa szkoły podstawowej kształtuje nowy pozytywny wzór nauczyciela. Nowy nauczyciel demokratycznego państwa jest, tak jak się zresztą nazwał kiedyś minister oświaty ob. Skrzeszewski, działaczem oświatowym, pracownikiem kultury, a więc człowiekiem społecznie zaangażowanym i intelektualnie zorientowanym w życiu kulturalnym kraju. Stąd tyle miejsca i słusznie — poświęca „Życie Szkoły“ sprawozdaniom z prasy pedagogicznej i społeczno-literackiej nie tylko krajowej, ale i zagranicznej oraz sprawozdaniom wydawniczym. Wychodząc z założenia, że nauczyciel w obecnych trudnych warunkach pracy nie zawsze może sobie pozwolić na czytanie całej prasy literackiej i fachowej, „Życie Szkoły“ informuje o ważniejszych pozycjach i wydarzeniach kulturalnych, notuje i podchwytuje problemy i dyskusje toczące się w prasie, aby je przekazać nauczycielowi. Nauczyciel to najważniejszy i naprawdę nowy czytelnik książek i prasy, nowy inteligent ze względu na funkcję swej pracy, a nie mechaniczną przynależność kastową. Sprawozdania z terenu pisarzy, którzy w akcji „Czytelnika“ jeździli po miasteczkach i wsiach, wszystkie prawie podkreślają ważność stanowiska nauczyciela w sprawie kultury w terenie. Jest on często jedyną poprzez szkołę instytucją kulturalną na zapadłych wsiach. O nauczyciela jako czytelnika powinny się ubiegać czasopisma społeczno-literackie, on bowiem ma możność użycia bezpośredniego tych treści kulturalnych, jakie one mają na celu upubliczniać. Toteż dział „sprawozdań“ „Życia Szkoły“ wydaje się tak ważny w piśmie tego typu. Redakcja „Życia Szkoły“ jest na ogół czułym i uważnym pośrednikiem między prasą literacką i życiem kulturalno-literackim, a swoim czytelnikiem Także w sprawach fachowo-pedagogicznych „Życie Szkoły“ nie waha się niekiedy wziąć za punkt wyjścia do dyskusji pedagogicznej materiału z prasy literackiej. Tak np. Karol Górski i E. Wirski podjęli w „Życiu Szkoły“ zagadnienie wysunięte przez J. Chałasińskiego w „Odrodzeniu“ w artykule pt. „Sztuka jako element kultury historycznej“. Tu również należałoby wymienić dyskusję o poezji dla dzieci zainicjowaną przez „Wieś“, a podjętą przez nauczycielstwo na łamach „Życia Szkoły“. Zagadnienie literatury dla dzieci w ogóle i sprawa współpracy pisarza ze szkołą były w „Życiu Szkoły“ niejednokrotnie dyskutowane. W ogóle problemy pedagogiczne wysuwane przez „Życie Szkoły“ często uzyskiwały powszechność dyskusji. W r. 1947 redakcja przeprowadziła interesującą ankietę wśród pedagogów polskich i zagranicznych na temat: „Najbardziej aktualne i ważne problemy pedagogiczne doby obecnej“. Szkoda, że żadne z pism społeczno-literackich nie podjęło się opracowania i spopularyzowania zagadnień tej ankiety wśród swoich czytelników. Cóż bowiem z wysiłków popularyzacji spraw ogólno-kulturalnych wśród nauczycielstwa, jeśli pisma społeczno-literackie nie interesują się, odwrotnie, życiem umysłowym nauczycielstwa W problematyce pedagogicznej „Życia Szkoły“ wydają się ważne przede wszystkim i to nie tylko dla nauczycieli, sprawy teorii i praktyki pedagogicznej w różnych krajach w związku z ich polityczno-społecznym ustrojem. Za mało może myśli i oceny marksistowskiej w interesujących informacjach o wychowaniu i szkolnictwie za granicą. Jednak niewątpliwie już same informacje poszerzają horyzonty i zainteresowania nauczyciela. Ważną pozycję w problematyce pisma stanowi ponadto sprawa programów nauczania i nowych przedmiotów, jak np. prehistorii, któremu to przedmiotowi, nowemu dla naszego nauczyciela, poświęcono specjalny bogaty numer uwzględniający także doświadczenia dydaktyczne w tym przedmiocie innych państw. Położenie szczególnego nacisku na sprawy nauczania historii wydaje się nam w obecnej chwili szczególnie ważne. Rozumienie historii stanowi przecież podstawę marksistowskiego światopoglądu, który w Polsce socjalistycznej musi być celem wychowania. Wydaje się, że nie tylko „Życie Szkoły“, ale całe szkolnictwo polskie mogłoby wypisać sobie jako motto cytat z pracy Szulkina „N. K. Krupska — wybitny pedagog radziecki“:

„Jesteśmy zobowiązani do wychowania ucznia w ten sposób, żeby nauczył się rozumieć, co się wokół niego dzieje, żeby orientował się w mechanizmie istniejącego ustroju, żeby poznał prawa rozwojowe społeczności ludzkiej, zrozumiał związek wzajemny i, co najważniejsze, żeby zrozumiał, w jakim kierunku zmierza rozwój społeczny.. Trzeba wiedzieć, jak należy budować życie nowe i nie tylko wiedzieć, lecz i umieć to czynić.. Trzeba, krótko mówiąc, dać marksistowskie rozumienie świata otaczającego... ułożyć programy, w których być może, nie będzie wymienione słowo marksizm, lecz które istotnie wykazywałyby wzajemny związek zjawisk.“

Władysław Błachut

LISTONOSZ WIEJSKI I KULTURA

Służba listonosza wiejskiego została obecnie rozciągnięta na cały kraj, jednak praktycznie znaczna liczba zapomnianych osiedli i gromad stanowczo zbyt rzadko wchodzi w kontakt z listonoszem wiejskim. W przeciwieństwie np. do obsługiwanych codziennie rejonów wiejskich w poznańskim, w niektórych powiatach województw krakowskiego, lubelskiego, rzeszowskiego czy kieleckiego mamy rejony obsługiwane przez listonosza wiejskiego zaledwie dwa razy tygodniowo! I podczas gdy w pocztowo uprzywilejowanych okolicach wiejskich konsument „słowa drukowanego“ otrzymuje codziennie swoją ulubioną strawę gazetową, w środowiskach pocztowo zaniedbanych musi zrezygnować z abonowania prasy codziennej, a na swój tygodnik musi często czekać parę ładnych dni. Nadto w pierwszych uśmiechnięty listonosz wiejski sunie na rowerze na dobrych zazwyczaj drogach (poznańskie), podczas gdy w drugich oprócz wyładowanej torby dźwiga jeszcze wypchany zaległymi z kilku dni czasopismami plecak i ocierając pot z czoła pragnie jak najprędzej pozbyć się swego ciężaru. Na szczęście w ramach tzw. Pocztowej Pomocy Szkolnej może swoim ładunkiem podzielić się z dziećmi w napotykanych po drodze szkołach i dopiero przy ich wydatnej pomocy podołać nałożonym nań obowiązkom.

Otwiera się przy tym wdzięczne pole do popisu dla komórek organizacyjnych administracji pocztowej (urzędy obwodowe jako jednostki kierownicze). Ułożone nieraz dorywczo i bez specjalnych badań rejony doręczeń listonoszów wiejskich muszą zostać dokładnie sprawdzone, a obciążenie pracą poszczególnego listonosza poddane obserwacjom. Na podstawie zebranych w ten sposób materiałów będzie można lepiej i staranniej rozplanować ten tak ważny pod względem społecznym odcinek służby publicznej, a drogą współzawodnictwa i premiowania wyników pracy zwiększyć efekty pracy listonosza wiejskiego. Już dziś można stwierdzić, że kadry listonoszy wiejskich wykazały się nie tylko terytorialnym zwiększeniem zasięgu swej służby, ale przede wszystkim wylegitymowały się setkami tysięcy nowopozyskanych odbiorców słowa drukowanego.

Chodzi jedynie o to, aby kadry odpowiednio wyszkolonych ideologicznie i fachowo listonoszy wiejskich rozprowadzić równomiernie po całym kraju, uczęstotliwić obsługę pocztową zaniedbanych dziś pod tym względem osiedli i gromad, zapewnić wszystkim mieszkańcom wsi częstą i punktualną dostawę „słowa drukowanego“. Wiele da się tu zrobić drogą przemyślanej reorganizacji i pełnego wykorzystania rezerw personalnych. Dalszy rozwój spowoduje konieczność zaangażowania nowych listonoszów wiejskich, czyli pewien wzrost wydatków na upocztowienie wsi, które jednak, z chwilą gdy nasz chłop przyzwyczai się do korzystania z usług poczty, zacznie więcej pisać, czytać, telefonować itp., zwrócą się z nawiązką. Szczególnie doniosłą rolę ma do spełnienia listonosz wiejski na odcinku kolportażu nowego czasopisma dla najszerszych mas chłopskich, a mianowicie „Gromady“, która ze względu na swoją pozytywną i ciekawą tematykę i niezwykle niską cenę winna niedługo znaleźć się w każdej chłopskiej chacie. Nasz listonosz wiejski musi jednak stanąć na poziomie, o ile chodzi o propagandę i kolportaż wydawnictw robotniczo-chłopskich i nie tylko wykonać zaplanowane z góry zadania, ale również wziąć spontaniczny udział w szlachetnym współzawodnictwie indywidualnym i między placówkami na tym polu. Jego aktywność propagandowa będzie dowodem jego uspołecznienia, a uzyskane wyniki ilościowe dadzą mu pełny tytuł do szlachetnego tytułu przodownika pracy na polu upowszechnienia czytelnictwa na wsi

Chcąc sprostać swym zadaniom nasz listonosz wiejski musi mieć odpowiednie nastawienie ideologiczne, posiadać podstawowy zasób wiadomości z dziedziny zagadnień gospodarczych i kulturalnych wsi. Stykając się codziennie z chłopem musi być propagandzistą naszych pozytywnych osiągnięć politycznych, gospodarczych i kulturalnych, a w żadnym wypadku szerzycielem kłamliwych, reakcyjnych wiadomości.

Przysłuchując się niedawno obradom listonoszy wiejskich województwa łódzkiego w Łodzi miałem sposobność stwierdzić, że obok wielu uświadomionych ideowo działaczy kulturalnych wsi, w pełnym tego słowa znaczeniu spełniających misję pośrednictwa między twórcą a odbiorcą „słowa drukowanego“, w szeregach listonoszy wiejskich znajdują się jeszcze liczni nieświadomi swych zadań „funkcjonariusze“ zawodowi, traktujący swą odpowiedzialną funkcję bez odpowiedniego nastawienia ideowego i wewnętrznego przekonania. Tacy widzą jedynie po drodze same cienie, a nie dostrzegają barw jasnych.

Na szczęście takich listonoszy jest niewielu. Ogromna większość z dnia na dzień coraz lepiej spełnia swe zadanie, i zyskuje coraz większą sympatię wśród chłopów.

Jest rzeczą zrozumiałą, że równocześnie stwarza się listonoszom wiejskim możliwie najlepsze warunki pracy i płacy, gdyż jest to służba niezwykle ciężka i odpowiedzialna. Listonosz wiejski tłucze się przez cały rok po naszych przeważnie jeszcze mocno wyboistych drogach, wędruje kilometrami do rozrzuconych w górach chałup, błąka się bez względu na pogodę po różnych odludziach i wertepach. Dlatego otrzymuje od swojej władzy przełożonej w miarę możności coraz lepsze wyekwipowanie, a przede wszystkim odpowiednie umundurowanie, nieprzemakalne peleryny i torby doręczycielskie.

Jeszcze niedawno prasa polska, a m. in. Jan Al. Król na łamach „Wsi“ upominał się u Ministra Putka o polepszenie sytuacji materialnej agentów i listonoszy wiejskich Dziś sytuacja na tym odcinku uległa radykalnej zmianie na lepsze. Minister Poczt prof. Szymanowski i wiceminister Lipiński robią wszystko, aby niejako „upocztowić“ zaniedbaną wieś i zapewnić pracownikom poczt na wsi odpowiednie warunki pracy i płacy.

Zarząd Główny Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ w piśmie z r. 1948 do Ministra Poczt i Tel. dra inż. Wacława Szymanowskiego donosi: „Zamykając bilans osiągnięć naszej Spółdzielni za rok 1948 w dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa na wsi, stwierdzamy, iż w ciągu minionych 12 miesięcy pozyskaliśmy dla wydawanych przez nas czasopism i dzienników około 800 tysięcy nowych prenumeratorów i to przeważnie takich, którzy przedtem gazety nie czytali. Zważywszy, że na wsi jedna gazeta jest czytana przez co najmniej 5 osób, łatwo ocenić, co pod względem politycznym i gospodarczym oznacza pozyskanie dla czytelnictwa takiej ilości prenumeratorów wiejskich, zwłaszcza na obecnym etapie naszego marszu do socjalizmu. Stwierdzamy, że te osiągnięcia w dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa na wsi były możliwe tylko dzięki temu, iż w ciągu minionego roku organizacja naszej poczty uczyniła wielkie postępy dla usprawnienia swoich usług w dziedzinie prenumeraty czasopism, a kierownictwo poczty położyło na tę dziedzinę usług nacisk szczególny, dając temu wyraz przy różnych okazjach“...

Podobne osiągnięcia Poczty kwituje również Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa“ (wydawany przez nią w nakładzie miliona egzemplarzy kalendarz „Poradnik Rolnika“, zdobył — podobnie jak czytelnikowski „Rolnik“ czy „Przyjaciółka“ masy chłopskie) oraz instytucje wydawnicze czasopism ludowych.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi“

ZA ROK 1947 I 1948

CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOSI 1 500 ZŁ

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wieś“, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wieś“ z zaznaczeniem „za rocznik „Wsi“ rok 1947 ew. 1948“.

ADMINISTRACJA TYG. „WIEŚ“

Józef Grabowicz

W sprawie wyższych studiów korespondencyjnych

Koncepcja organizacji wyższych studiów korespondencyjnych staje się problemem, nad którym toczy się coraz żywsza dyskusja, nietylko wśród organizatorów, ale i wśród bezpośrednio zainteresowanych tą kwestią.

Dyskusje takie odbywają się wśród takich ludzi, dla których zagadnienie wyżej wymienionej formy kształcenia jest aktualne.

W niniejszym artykule pragnąłem wyrazić stanowisko, jakie zajmuje jedno ze środowisk prowincjonalnych, interesujących się projektem stworzenia wyższej szkoły korespondencyjnej — konkretnie mówiąc, jest to stanowisko abiturientów Państwowego Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zduńskiej.

Chciałem jednocześnie przekonać, ob. M. Rękasa, że teren już się „rusza“, bo na pewno w analogiczny sposób ustosunkowuje się do tej sprawy spora ilość abiturientów innych liceów rolniczych. Na marginesie zaznaczyć chciałem, że wypowiedź ta ma także wyjaśnić sytuację, jaką stworzyła red. Lili Szwengrub artykułem: „A co z nich będzie później“? („Wieś“ Nr. 51 1948).

Młodzież, która w tym roku kończy Liceum G.W. w Dąbrowie Zduńskiej, jest pierwszą grupą, otrzymującą świadectwa dojrzałości w nowo-zorganizowanej tej szkole. Młodzież ta nosi jeszcze blizny minionej wojny, co uwidacznia się w jej wieku. Przeciętny wiek waha się w granicach 24 — 25 lat. Nasuwa się pytanie: jakie mają zamiary przyszli absolwenci? Wszyscy niemal noszą się z zamiarem objęcia stanowisk społecznych z chwilą ukończenia szkoły.

Względów przemawiających za tym jest bardzo dużo. W całokształcie obecnej gospodarki państwowej na odcinku rolnictwa dąży się do przebudowy oblicza społeczno-gospodarczego wsi polskiej, do wprowadzenia, ze względu na wyłaniające się potrzeby i konieczności, najwyższej formy spółdzielczej — spółdzielni produkcyjnych, jako gwarantujących podniesienie stopy życiowej szerokich mas ludowych na wyższy poziom.

Realizacja tych zamierzeń wymaga przede wszystkim całego szeregu kadr odpowiednio wykwalifikowanych fachowców. Fachowcami tymi będą w pierwszym rzędzie absolwenci szkół rolniczych. Na ich barki spadnie obowiązek podjęcia czekających prac w strukturze organizacyjnej spółdzielni produkcyjnych. Na nich spadnie obowiązek uruchomienia tych spółdzielni i należytego kierowania nimi, muszą one dać bowiem spodziewany efekt. Świadomość tych dążeń, tych tendencji gospodarczych i docenianie ich roli na drodze marszu ku socjalizmowi powoduje, iż młodzież decyduje się na natychmiastowe objęcie konkretnych prac, ponieważ warsztaty czekają — warsztaty muszą ruszyć!

Przyszli maturzyści z Dąbrowy Zduńskiej zdają sobie sprawę również z tego, że w terenie istnieją jeszcze olbrzymie luki w zakresie szkolnictwa rolniczego średniego, które także należy uzupełnić. Wiedzą, że czekają na nich także szkoły P.R.-u.

Powody te wykluczają kontynuowanie dalszej nauki drogą „normalną“. Z tych powodów myśl stworzenia wyższych studiów na drodze korespondencyjnej została wprost entuzjastycznie przez tutejszą młodzież powitana.

Otwiera ona nowe perspektywy kształcenia się w ścisłym związku z wykonywanym zawodem. Sceptyczne zapatrywania się pesymistów na naukę korespondencyjną nie mają zgoła uzasadnienia, skoro ta forma nauczania prowadzona jest na szeroką skalę w Związku Radzieckim i poparta jest bogatym doświadczeniem tego państwa.

Jeżeli chodzi o problem nowej formy studiów, to — zdaniem abiturientów ze Zduńskiej Woli — najpraktyczniejszym byłoby rozwiązanie jego w ramach każdej wyższej uczelni osobno.

Skrystalizowanie bowiem aparatu prowadzącego wszystkie uczelnie korespondencyjne zajęłoby zbyt wiele czasu. Sprawa zaś jest paląca — czas nagli.

SPROSTOWANIE

W kolumnie poezji zamieszczonej w Nr 18 „Wsi“ mogły zajść niejasności dotyczące autorstwa niektórych wierszy.

Wyjaśniamy, że autorem wierszy „Nowe Słońce“ i „Głowa w próżni“ jest Tadeusz Różewicz.

Natomiast autorem wierszy „Droga“, „W słońcu“ i „Noc sierpniowa“ — Jerzy Miller.

Redakcja

FAKTY i ZDANIA

O współzawodnictwo w pracy oświatowej

W związku z **Tygodniem Oświaty, Książki i Prasy** (1—9 maj) pisze „Trybuna Ludu“ (Nr 115):

„Tak jak ambicją każdego zakładu pracy jest wypełnienie i przekroczenie planu, walka o jakość i o oszczędność, taką samą ambicją stać się musi walka o likwidację analfabetyzmu wśród pracowników i ich rodzin, akcja rozszerzenia czytelnictwa książek i prasy.

Młodzież szkolna i akademicka mogą i powinny podjąć **konkretne zobowiązania likwidowania analfabetyzmu na określonym terenie...**

To samo dotyczy związków zawodowych i organizacji pracowników umysłowych. Jest to sprawa honoru i sprawa przyszłości. Analfabeci nie mogą zrozumieć tego, co się dzieje w Polsce, analfabeci są podatni na podszepty wrogów. **„z analfabetami nie można budować socjalizmu“ (Lenin).**

Wiadomo, że wydatki na oświatę i kulturę stanowią największe pozycje w budżetach państw demokracji ludowych.

W Polsce łączna suma wydatków na oświatę wyniesie w 1949 r. 84 miliardy złotych oraz 9 miliardów w budżetach samorządowych, stanowiąc razem przeszło 1/5 ogółu wydatków państwowych (prawie dwa razy więcej niż przed wojną). Jasne, że suma ta wzrastać będzie w miarę rozwoju gospodarki narodowej, przemysłu, rolnictwa, handlu.

W Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy społeczeństwo musi włączyć się do ogólnej walki z ciemnotą i analfabetyzmem.

Paść muszą konkretne zobowiązania na terenie organizacji partyjnych, rad zakładowych, szkolnych. Paść muszą hasła współzawodnictwa pracy oświatowej, hasła rozbudowy pracy fabrycznej, rozbudowy bibliotek fabrycznych i wiejskich, popularyzacji prasy.

Hasło „Trybuny Ludu“ współzawodnictwa pracy oświatowej winno znaleźć najżywszy oddźwięk wśród organizacyj partyjnych i ZMP.

k. m.

O bezpartyjnych

Wiślica, dnia 25. 4. 1949 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Korzystając z wolnej chwili spieszę wyrazić Panu moje najserdeczniejsze podziękowanie za tak miłą niespodziankę, jaką mi Pan wyświadczył. Proszę mi wierzyć, że nie mógł mi Pan sprawić większej przyjemności niż przysłanie tych kilku książeczek z biblioteczki klasyków marksizmu. Zajęty codzienną, żmudną pracą i siedząc stale w Wiślicy, nie miałem dotychczas możności zaopatrzyć się w tę tak bardzo wartościową i aktualną lekturę.

Do dziś nie należę jeszcze do żadnej partii, wychodząc z założenia, że swoją wytrwałą i intensywną pracą mogę również dobrze służyć Polsce i jej obywatelom, a przecież na każdym miejscu i na każdej placówce potrzebni są ludzie czystych rąk, którzy dobrze wywiązują się ze swych obowiązków. Jak dotychczas jestem zwykłym pracownikiem społecznym, który stara się dobrze i wytrwale pracować. Że dobrze pracuję nie tylko dla siebie i rodziny, to najlepszy dowód, że zostałem już kilkakrotnie wyróżniony za intensywną i wydajną pracę przy rozprowadzaniu i propagowaniu prasy chłopsko-robotniczej. Ostatnio na przykład otrzymałem 15-tomową biblioteczkę („Łącznik pocztowy“ nr 3 (14) z marca br.), a w chwili gdy ten list piszę — 10-tomową biblioteczkę. W najbliższych dniach mam znów otrzymać nagrodę za rozprowadzenie w 150% ponad ustaloną mi normę (norma około 300 egz.) czasopisma „Gromada“.

M. P.

Rocznica w kulturze

Związek Radziecki przygotowuje się starannie do nadchodzącej rocznicy urodzin największego poety rosyjskiego — Aleksandra Puszkina. Dotąd, przez 30 lat istnienia władzy radzieckiej, wydano już 35.500.000 egzemplarzy dzieł poety w 76 językach.

W bieżącym roku ukaże się w ZSRR — ponad 11.000.000 egzemplarzy książek Puszkina. W tym olbrzymim przedsięwzięciu kulturalnym uderza planowość, polegająca na doborze poszczególnych dzieł Puszkina ze względu na rodzaj czytelników.

Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej wyda 200.000 egz. jednotomowego zbioru dzieł wybranych Puszkina. Służyć będzie ono m. in. uczącej się młodzieży. Natomiast szczegółowe wydanie najlepszych utworów poety redagowane przez profesorów D. Błagoja i S. Pietrowa — zaspokoi potrzeby studentów wyższych uczelni w zakresie studiów uniwersyteckich nad Puszkinem. Temu celowi służyć będzie również specjalny tom pt. „Puszkin jako krytyk“, zbierający wypowiedzi poety na temat literatury i pisarzy.

W popularnych wydaniach, obliczonych na czytelnika, członka bibliotek, lub kupującego książki, uwzględniono takie pozycje jak „Borys Godunow“, „Dubrowski“, „Opowiadanie Biełkina“ i wiele mniejszych utworów, wraz z tomem wierszy wybranych. Razem ponad 300.000 egzemplarzy, ilustrowanych przez najlepszych plastyków radzieckich.

Wreszcie Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej opracowało specjalnie dla najmłodszych czytelników tzw. „Biblioteczkę Puszkinowską“. Stanowi ją 38 książek o łącznym nakładzie 3.685.000 egz. Niezależnie od tego poszczególne narody ZSRR wydadzą Puszkina w swoich językach, również ze względu na potrzeby różnych grup czytelniczych.

W ten sposób realizuje państwo Radzieckie postulat upowszechnienia kultury, wiążąc olbrzymi aparat techniczny z określonym czytelnikiem.

w. j.

Kongres bankrutów

Amerykańscy imperialiści i ich wspólnicy zachodnio - europejscy zwołują do Paryża kontr-kongres „pokoju“. Oto główni aktorzy tego widowiska, którego głównym celem jest zamaskowanie prawdziwych celów światowego imperializmu, w oświetleniu Ilji Erenburga:

„Przyrzeczono występ pana Huxley'a, który we Wrocławiu brał czynny udział w opracowaniu rezolucji potępiającej wojnę i który ulotnił się „po angielsku“ na kilka godzin przed głosowaniem. Na kontr-kongresie ma również wystąpić autor paszkwilu „Brudne ręce“, pan Sartre, który zapewne będzie

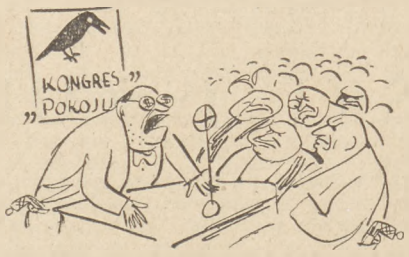

mówił o tym, że „czyste“ przedsięwzięcia, jak na przykład nagonka na komunistów, winny być urzeczywistniane przy pomocy zupełnie „czystych“ rąk. Można by urządzić na kontr-kongresie występy innych aktorów, na przykład Celine'a, specjalisty w zakresie demokracji Salazara, wreszcie Czang-Kai-Szeka, który po zwolnieniu się od swoich obowiązków państwowych bezsprzecznie dojrzał do wystąpienia w obronie „kultury zachodniej“.

I po co ta komedia? Wiadomo przecież, kto stoi za tymi aktorami śmiesznego widowiska. „Delegatów“ na kontr-kongres kierują bankierzy, właściciele fabryk i zbankrutowani politycy. Zaś polityka bankrutów może się skończyć tylko — bankructwem.

j. ł.

Wzmocnić czujność gromady!

W artykule Henryka Wencla: „Ośrodki maszynowe przed egzaminem“ („Życie Gospodarcze“ Nr 8) — natrafiamy na tabelę, obrazującą wydajność ośrodków maszynowych w kilku województwach za trzeci kwartał ubiegłego roku. W traktorach przeciętnie wynosiła ona 46.16 proc., w siewnikach 42.85 proc. Są to cyfry oczywista niezadawalające. Faktem jest, że prawidłowe funkcjonowanie ośrodków maszynowych w trakcie ich powstawania wymagało pokonania dużych oporów natury technicznej — brak podręcznych warsztatów reperacyjnych, brak dostatecznie wyszkolonej obsługi przyczyniał się do unieruchomienia traktora czy maszyny w najbardziej gorącym dla rolnictwa czasie. Dochodził tu jednak jeszcze

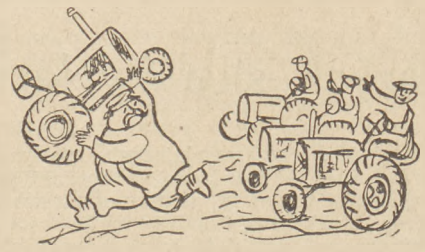

czynnik inny. Niezadawalająca wydajność wynikała często z braku kontroli społecznej nad ośrodkami. Dzisiaj sytuacja się zmienia. Powstające komitety gromadzkie ZSCh. dla kontroli ośrodków będą czuwały nad wzmożeniem wydajności maszyn, będą czuwały nad tym, by traktory i siewniki możliwie jak najwięcej zaorały i obsiały na polach mało- i średniorolnych chłopów. Spółdzielczych ośrodków maszynowych przybywa, obecnie mamy ich: 2.200 plus 500 filii gromadzkich. W planie częścioletnim przewiduje się wyprodukowanie rocznie 13.000 traktorów. Z każdym więc rokiem ośrodki maszynowe będą stawały się coraz potężniejszym narzędziem podniesienia techniki rolnej, a więc podniesienia wydajności z hektara. One to uwolnią mało- i średniorolnego chłopa od wyzysku bogaczy wejskich, którym biedny chłop musiał dotąd drogo płacić za pomoc w sprzężaju i maszynach. Chłopi mało- i średniorolni są najbardziej zainteresowani w sprawności spółdzielczych ośrodków maszynowych, należy przypuszczać, że dzięki działaniu komitetów ZSCh. zmienią się zasadniczo cyfry, dotyczące wydajności ośrodków maszynowych, bo sama gromada przez swoich reprezentantów dopilnuje, by ośrodki te pracowały jak najsprawniej.

M. K.

W gminie Masłowice

Po zakończeniu działań wojennych mieszkańcy tej gminy, jak i wielu innych — stanęli przed nader trudnym zadaniem. Oprócz olbrzymich strat materialnych w budynkach, inwentarzu i zbożu wojna zostawiła im jeszcze pola, w wielu miejscach nie nadające się do użytku, bo poorane rowami przeciwczołgowymi, strzeleckimi i pociskami armatnimi. Jednak ludność pod kierownictwem Gminnej Rady Narodowej, potrafiła szybko pokonać te przeszkody. Rozebrano bunkry, zasypano doły, a drzewo zużyto do budowy. Zasypano także głębokie przeciwczołgowe i strzeleckie rowy na przestrzeni około 8 km. Stan dróg uległ również znacznej poprawie, wybudowano bowiem ostatnio prawie 3 km nowych dróg bitych, nałożono dużą ilość nawierzchni na drogach podniszczonych i oczyszczono rowy. GRN dbając o lepsze zbiory zorganizowała na wysokim poziomie stojącą pomoc sąsiedzką, a akcję siewną przeprowadziła w ten sposób, że w roku 1948 90% zasiewu wykonano siewnikami ośrodka maszynowego ZSCh. W roku 1949 siewy mają być w 100% wykonane i tylko siewnikami. W roku tym musi być także wykorzystany każdy metr ziemi — mówi z zapałem i pewnością sekretarz rady. Ziemie nie nadające się do uprawy zalesimy w tym roku co do piędzi...

GRN w Masłowicach dba także, aby żadnemu z mieszkańców nie działa się krzywda, aby nie było wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, lepszych „i gorszych“. Dowodem tego jest 11 protokółów sporządzonych przez Komisję

Kontroli Społecznej, tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy 1949 roku, czym wysunęła się na pierwsze miejsce w radomszczańskim powiecie. W grudniu ubiegłego roku komisja ta interweniowała w sprawie robotnika młynarskiego ob. Reczki Stefana. Robotnik ten za dzienną, kilkunastogodzinną pracę we młynie ob. Hejnika — otrzymywał, jako pełne wynagrodzenie 140 zł, a ma on na utrzymaniu 8 osób, a w tym czworo dzieci do lat 10. W ten sposób prowadzona jest walka klasowa przy pomocy demokratycznych instytucji.

Akcja „H“ przy czynnej współpracy GRN i ZSCh. jest także dobrze prowadzona. Sprawę kontraktowania trzody chlewnej wykonano już w 80%. Napływają jeszcze ciągle nowe zgłoszenia. Ostatnio prezes GRN w Masłowicach, ob. Sosiński, zorganizował zebranie, na którym omówił sprawę stosunku Państwa do Kościoła. Zebrani po przemówieniu ob. Sosińskiego i po dyskusji wyrazili pełne zrozumienie dla rządu w tej sprawie.

GRN w Masłowicach, w skład której wchodzi 10 członków PZPR, 8 — SL i 2 bezpartyjnych — stanowi jedno ogniwo wielkiego łańcucha Gminnych Rad pracujących nad poprawą chłopskiego bytu. Jest to ogniwo mocne.

Gustaw Tomala

Bazy na... papierze

Pismo amerykańskie „American Mercury“ zamieściło nader charakterystyczny artykuł, pióra — jak stwierdza redakcja — jednego z wybitnych amerykańskich znawców spraw lotniczych. Autor dowodzi w nim po pierwsze, że kraje Europy Zachodniej wykazują bardzo mało walorów w charakterze baz wojskowych, powtóre — znów wyśpiewują starą piosenkę na znaną, hitlerowską melodię, że lotnictwo odgrywa decydującą rolę w wojnie. Przede wszystkim jednak zajmuje go pierwsza kwestia. Jeśli więc Europa Zachodnia nie może służyć jako baza wojskowo-lotnicza — to gdzież może się ona mieścić? Przede wszystkim w samych Stanach Zjednoczonych. „Ażeby uchronić łatwo psujący się towar, trzeba mieć przede wszystkim trwały dach... Ponowne uzbrojenie Europy Zachodniej pozostanie nadal bardzo marne... Dachem ochronnym dla niego może być tylko lotnictwo amerykańskie, niezależne od europejskich baz“.

Więc — proponuje się Europie Zachodniej zdać na łaskę i niełaskę sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Już nawet nie polityków i finansistów — lecz po prostu militarystów. Z woalu kłamstwa zawsze wyziera szczypta prawdy. Jednemu państwu godzi się wzmiankowany autor przyznać rolę bazy lotniczej. Mianowicie Wielkiej Brytanii. I pisze przy tym, że Ameryka dąży do „wzmocnienia Wysp Brytyjskich, jako najważniejszej i najpewniejszej wysuniętej bazy amerykańskiej“.

A więc jaka jest różnica między krajami zachodniego kontynentu europejskiego? Bardzo drobna. To są różnice uwarunkowane pozycją, jaką Stany Zjednoczone raczą łaskawie przyznać swym wasalom w swej imperialistycznej polityce.

Ale jest jedno podstawowe podobieństwo: Europie Zachodniej przyznają Stany Zjednoczone tylko rolę swojej własnej bazy wojskowej. Ale Stany Zjednoczone — a także autor cytowanego artykułu — dokonały jednego przeoczenia, że narody zachodnio-europejskie nie mają zamiaru służyć Stanom Zjednoczonym w charakterze baz wojskowych. Tak, że plany pozostają tylko planami.

R. S.

Sprawy młodych studentów

Ciekawa dyskusja na temat werbunku studentów na wyższe uczelnie toczy się na łamach tygodnika „Po prostu“. Dwa bardzo istotne problemy poruszyły artykuły: Jerzego Tarnowskiego „Przed akcją rekrutacyjną“ i I. K. „Tym kłopotom trzeba zapobiec“.

Tarnowski zwraca słusznie uwagę na konieczność „równomiernego rozłożenia nowowstępujących na wyższe uczelnie“. Chodzi o słuszną sprawę równomiernego rozmieszczenia nowowstępujących po wszystkich wydziałach — tak, by pewne wydziały nie były przeciążone, inne zaś — niedopełnione. Sprawa jest o tyle ważna, że częstokroć daje się zauważyć pewną żywiołowość, bezplanowość w rozmieszczaniu się studentów na uniwersytecie. Oczywiście nie należy stosować tu metod nacisku, przymusu — ale raczej przekonywania i uświadamiania. Jest to problem kierowania zainteresowaniami kandydatów na studentów.

Następny artykuł zwraca słuszną uwagę na konieczność odpowiedniego zaopatrzenia materialnego absolwentów kursów przygotowawczych i osob pochodzenia robotniczo-chłopskiego wstępujących na uniwersytety. Sprawa ta posunęła się i usprawniła znacznie w ciągu ostatnich dwóch lat. Zrozumiałe jest jednak, że wzrost ilości studentów pochodzenia robotniczo-chłopskiego wymaga podniesienia zaopatrzenia — nie w sensie indywidualnym, ale zbiorowym.

K. M.

Recepta na recenzję filmową

Od dłuższego czasu w chwilach rekreacji studiuję z niebywałą uporczywością dwutygodnik „Film“. Na podstawie lektury prowadzonej bardzo starannie i połączonej z pragnieniem dokształcenia się odkryłem (sądzę, że nie jestem w tym odosobniony) receptę na bardzo specjalną miksturę, którą stanowi najczęściej praktykowana w Polsce recenzja filmowa. Pozwolę ją sobie tutaj zdradzić. Po odczytaniu krótkiego prospektu, jaki tu zaraz zamieszczę, każdy, dosłownie każdy będzie mógł zostać recenzentem filmowym.

Sztuka ta bowiem wymaga jak dotychczas bardzo niewiele fatygi. A więc uwaga. Najpierw streszczamy film: pan X kocha panią Y, pani Y pana Z itd., itd. To w zasadzie wypełnia dziewięć dziesiątych recenzji. Następnie przychodzi kolej na wystawienie cenzurek poszczególnym aktorom, ci zaś z zasady albo „dobrze (względnie „źle“) wywiązują się ze swych obowiązków“, grają „z przekonaniem“ („bez przekonania“), „inteligentnie“, mają „wszechstronny talent“, bywają „mili“ lub „bezbarwni“. Tyle wystarcza. Więcej nie trzeba, przynajmniej zdaniem panów recenzentów. No i dodaje się jeszcze coś o zdjęciach. Np. „piękne plenery“, tego napisać nigdy nie zaszkodzi. „zręczne użycie środków technicznych“, „umiejętność operowania tłumem i przestrzenią“. No i koniec. Kładziemy podpis, sprawa załatwiona. Rzeczywiście żyje się bez komplikacji. A może by tak jednak czasami spróbować podjąć jakieś prace nad wypracowaniem marksistowskiej estetyki w dziedzinie filmu? Może by tak raz przynajmniej.

J. C.

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—01902